

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny



MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

WEJHEROWO 2013

Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

Pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2013

W y d a w c a:

**Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego**

Opracowanie, skład komputerowy: Henryk Połchowski

Korekta: Krzysztof Powąłka

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Druk: Drukarnia MIDI Wejherowo 2013

Drodzy Czytelnicy!

Tegoroczny Wejherowski Konkurs Literacki "Powiew Weny" został poddany wyjątkowo trudnej próbie. Mottem VIII edycji konkursu był bowiem cytat „Czas jest tempem, w którym znika przeszłość...” zaczerpnięty z książki Davida Mitchella „Atlas Chmur”, z dopiskiem "Pomorze za setki i tysiące lat". Dlatego nieprzypadkowo do jury konkursu został zaproszony specjalista z zakresu literatury fantastycznonaukowej wejherowianin Jan Plata-Przechlewski – długoletni członek Gdańskiego Klubu Fantastyki i redaktor naczelny comiesięcznego biuletynu "Informator" wydawanego przez to stowarzyszenie.

Pytania typu "jak będzie świat za dziesiątki i setki lat" – a szczególnie, jak w bliższej czy dalszej przyszłości będzie funkcjonował nasz kraj, nasz region, miasto czy wieś – rozbudza często naszą wyobraźnię. Cieszymy się z rozwoju naukowo-technicznego, zdobyczy nauki i techniki w wielu dziedzinach – medycynie, komunikacji, łączności, w tym z coraz mniejszych i wydajniejszych komputerów, smartfonów, tabletów oraz wszelkich urządzeń ułatwiających życie i funkcjonowanie. Jednocześnie obawiamy się skutków rozwoju cywilizacyjnego, któremu towarzyszy rozbudowa arsenałów broni jądrowej, chemicznej i biologicznej, zanieczyszczanie środowiska naturalnego, wyginanie gatunków fauny i flory. Obawiamy się także pojawiających się nowych zagrożeń dla ludzkości i życia na ziemi – w postaci śmiertelnych wirusów i alergii, oraz innego typu lęków, jak choćby ocieplanie klimatu skutkującego rzekomo topieniem lodów na biegunach. Być może dlatego w wielu pracach konkursowych pojawiał się motyw potopu i zmienionych granic lądów.

Nie bez powodu motto konkursu z pytaniem o próbę nakreślenia literackiej podróży w przyszłość, często poza granice ludzkiej wyobraźni, uznaliśmy za wartą inspiracji twórczej dla mieszkańców Wejherowa, powiatu i naszego województwa. A wyzwanie nie było łatwe. Nie wszyscy parający się pisarstwem w naszym mieście i regionie znaleźli motywację do podjęcia tego typu próby. Dotyczy to w szczególności poezji w grupie A, czyli młodzieży do lat 19, gdzie do konkursu zgłosiło się jedynie 2 autorów. W sumie na 27 prac, jakie napłynęły na konkurs, wiersze nadesłało 9 autorów z grupy B tj. w wieku od 20 lat wzwyż; 5 autorów napisało prace w kategorii prozy w grupie młodzieży i 11 prac prozą nadesłali autorzy w grupie dorosłych.

Ciekawie przedstawia się statystyka uczestników pod względem miejsca zamieszkania. Najwięcej prac, bo aż 8, wpłynęło z Wejherowa. Należy podkreślić, że są to prace napisane przez autorów dorosłych. Po dwie prace wpłynęły z Malborka, Redy, Luzina i Gościcina. Natomiast pojedyncze prace napisali autorzy z Gdańska, Gdyni, Kwidzyna, Sztumu, Miastka, Nowego Stawu, Wicka, Choczewa, Gniewina i Lini. A więc zasięg geograficzny uczestników był dosyć rozległy.

Z perspektywy przedstawiciela władz miasta Wejherowa, które wspólnie z biblioteką jest organizatorem tego konkursu, muszę się odnieść – choćby symbolicznie – do tematyki prac autorów piszących o grodzie Wejhera. I tak w kategorii młodzieży uwagę zwraca opowiadanie Szymona Rudźki z Gniewina pt. "Oaza", w którym młody autor wybiegając bardzo daleko w przyszłość przedstawił wizję Pomorza jako utworzonej po potopie ekologicznej wyspy, gdzie w tzw. Wszechmieście, wbrew pędowi do nowoczesności za wszelką cenę, zachowano zasady współzycia z naturą, gwarantując ludziom długie i szczęśliwe życie. Jak pisze Szymon – mieszkańcy Pomorza sprzeciwili się wpływowi nowoczesnego Wszechmiasta i uratowali wyspę przed szkodliwą dominacją spisując tzw. Kodeks Złotych Praw. Stolicą wyspy, która otrzymała nazwę Wielka Metropolia, została Archimetropolia Wejherowo. W opowiadaniu jest też opis miasta z ratuszem, gdzie rezyduje Dynastia Dranbehilt.

Również w kategorii prozy dorosłych pojawiły się treści związane z Wejherowem. W opowiadaniu Grzegorza Dziegielewskiego "Chronos" autor przywołuje monstrualnie rozrośnięty Park Majkowskiego i wspomina ciszę, jaka panuje w mieście, że "w uszach aż dudnią grzmotem własne myśli". W mieście tym zlikwidowano telewizję z powodu "tyranii milczenia", ze względu na rzekome "zagrożenie". Jak pisze autor wyludnionym deptakiem z rzadka przebiegają postaci jak widma, a za umownymi murami miasta na gruncie ciszy wyrósł las jak dżungla. Niestety, autor nie napisał, co znajduje się za murami tej dżungli, stawiając po tym zdaniu wielokropek. A szkoda.

Wiele wątków wejherowskich pojawia się w opowiadaniu Krzysztofa Skurłatowskiego. Podczas lotu kosmicznego w kierunku kolonii planetarnej "Kaszubia Nova" obudzony zostaje, jedyny zachowany przy życiu, 14-letni pasażer. Dodajmy, że pojazd o nazwie "Gryf" wystartował z kosmodromu "Orle". Podczas podróży w nieznane – bo statek kosmiczny dawno ominął cel podróży, a żyjąca załoga katapultowała się – bohater opowiadania wspomina dzieciństwo, w tym wiele bardzo ciepło nakreślonych obrazów z Wejherowa, w tym m.in. Oranżerię w Parku Majkowskiego, Grób Chrystusa na Kalwarii Wejherowskiej, gdzie w jego pobliżu po raz pierwszy pocałował swoją dziewczynę Karolinę, gimnazjum, a przede wszystkim ewakuację z Ziemi oraz ostatnie spotkanie z rodzicami.

Ciekawa jest również wizja podwodnego cmentarza statków utworzonego na Pomorzu opisana przez Magdalenę Topp z Wejherowa. Budowniczy tego podwodnego muzeum postanawia odkryć tajemnicę jednego z XVII-wiecznych okrętów, którym o. Robert z Werden przywiózł ziemię z Jerozolimy, a która – jak powszechnie wiadomo – została podsypana pod budowę każdej z kaplic Kalwarii Wejherowskiej. W tym celu odwiedza Klasztor OO. Franciszkanów, gdzie tylko dzięki zaufanemu zakonnikowi dostaje się do specjalnie ukrytego regału z książkami i odnajduje, utrzymywany w tajemnicy przez Franciszkanów, zapis o wyprawie do Ziemi Świętej.

Gratuluję laureatom tegorocznej "Weny" i dziękuję wszystkim uczestnikom biorącym udział w konkursie. W szczególności zaś dziękuję autorom, którzy zechcieli zamieścić w swoich pracach konkursowych wątki związane z Wejherowem oraz jurorom, którzy swój czas poświęcili na zapoznanie się z wszystkimi utworami i dokonali ich oceny. Są to m.in. Danuta Balcerowicz – dyrektor biblioteki w Wejherowie, instruktor biblioteki – Ewelina Magdziarczyk-Plebanek, redaktor naczelny „Informatora” GKF – Jan Plata-Przechlewski, Henryk Połchowski i Krzysztof Powałka (sekretarz konkursu),

Dziękując wszystkim za udział w konkursie – życzę powodzenia w dalszej realizacji planów literackich i zapraszam do udziału w kolejnych edycjach naszego konkursu.

Bogdan Tokłowicz

Przewodniczący Komisji Konkursowej
Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa

W Y N I K I

VIII Wejherowskiego Konkursu Literackiego „POWIEW WENY – 2013”

Decyzją jury, w którego skład wchodził: mgr Bogdan Tokłowicz (przewodniczący) - Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa oraz członkowie - mgr Danuta Balcerowicz - dyrektor biblioteki, polonista, mgr Ewelina Magdziarczyk-Plebanek - instruktor biblioteki, teatrolog, kulturoznawca i bibliotekarz, mgr Jan Plata-Przechlewski - polonista, grafik, redaktor naczelny "Informatora" Gdańskiego Klubu Fantastyki, mgr Henryk Połchowski - polonista i dziennikarz, i Krzysztof Powałka - informatyk (sekretarz konkursu), laureatami VIII Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny" zostali:

A – grupa do lat 19

POEZJA

I nagroda: nie przyznano

II nagroda: godło "Ever" - Paulina Ostrowska z Nowego Stawu

III nagroda: godło "Kula" - Kamil Kuliński ze Sztumu

PROZA

I nagroda: godło "Pensjonarka" - Małgorzata Witka-Jeżewska z Redy

II nagroda: godło "Roland" - Tobiasz Popis z Malborka

III nagroda: godło "Sprinter" - Szymon Rudzko z Gniewina

III nagroda: godło "AMC 95" - Aleksandra Maria Ciok z Malborka

B - grupa dorosłych

POEZJA

I nagroda: godło "JT" - Aleksandra Taciak z Luzina

II nagroda: godło "Autostrada" - Joanna Kowalska z Wicka

III nagroda: godło "Kasjopeja" - Lilii Wilczyńska z Gościcina

Wyróżnienie: godło "EliaA" - Teresea Mielewczyk z Wejherowa

PROZA

I nagroda: godło "XINPEROR" - Lidia Zdzitowiecka z Gościcina

II nagroda: godło "Siermiężny Kłós" - Dariusz Burzyński z Gdańska

III nagroda: godło "Wir" - Grzegorz Dzięgielewski z Wejherowa

Wyróżnienie: godło "Latimeria" - Magdalena Topp z Wejherowa

Wyróżnienie: godło „Imants” - Krzysztof Szkurłatowski z Wejherowa

Wyróżnienie: „Ad Absurdum” - Bogusława Zubrzycka z Wejherowa

Za tysiące północy

Poczułem nagły zawrót głowy. Postanowiłem szybko wyjść na pokład. Deszcz ciągle jeszcze siąpił, ale wyraźnie ustępował. Nasza Vessla płynęła na południe już 3 dobe. Byłem nieco zdziwiony. Mimo wbudowanych czujników wtapiających nas w otoczenie, ciągle słyszałem spłoszone mewy. Coś wyraźnie wisiało w powietrzu. Wyczuwałem sporo podtlenku azotu, a na pewno coś słodkawego w zapachu i smaku. Powinienem już zmienić dr. Avane'e, ale rozejrzałem się dookoła, na wszelki wypadek. Na szczęście tym razem pociski ultradźwiękowe nie były potrzebne. Konwencjów nie było jak okiem sięgnąć.

„Tellur, ultrason” - powiedziałem, a nasz natychmiast wyświetlił mi program w soczewce wyniki. Nikogo nie było. Poczułem ulgę, mimo wszystko i zszedłem z powrotem na dół do laboratorium.

* * *

„Nie rzucaj tak daleko tej piłki Gerard!” - wrzasnęłam.

„Przepraszam Emilio, zagapiłem się na morze”

„Oj tam, zupełnie jakbyś je pierwszy raz widział, ciągle tylko się gapisz i gapisz. Pogapiłbyś się na coś innego” - wzruszyłam ramionami biegnąc po piłkę kilkanaście metrów.

„Może kiedyś. Jest zbyt piękne, żeby się nie przyglądać” - ciągnął, rozmazonym głosem. Rzadko kiedy rozmawiałam z nim o przyrodzie, ale zauważyłam że jego ton jest wówczas zawsze łagodniejszy.

„A ja, mam już troszkę dość. Tu morze, tu las, tam góry. No, chciałoby się trochę industrialnego nieładu.” - wyznałam na głos.

„A wiesz w ogóle, że wg legendy, tutaj kiedyś były takie, czekaj, jak to się nazywało. Bloki! Bloki, bo były bloki żelaza i szkła. Mieliliśmy to na lekcji ze starożytnego modernizmu.”

„Co ty gadasz. Ktoś ci chyba głupot naopowiadał. Moja mama nie pamięta, żeby to morze nie rozlegało się tu kilometrami. A żyje już 124 lata, ma więc jakieś doświadczenie.”

„Phi, co tam może wiedzieć. Co z tego, mój dziadek też mówi, że się rozlegało. Ale jakieś pojedyncze nieprzetopione budynki pamięta. A czasy, o któ-

rych mówię! Nie sędzę, że najstarsi Pomorzanie pamiętają. To było prawie 1000 lat temu.”

„Dyrzymały. Gdzie tam te prymitywne cywilizacje jakieś szkło i żelazo potrafiłyby skonstruować coś ładnego. To musiało być później. Znacznie, dziadek pewnie ma demencję starczą. Niech sobie łyknie jakiś Vita-mit+200”

„Fakt, że jesteś taką ignorantką, zaskakuje mnie tylko trochę mniej, niż fakt że wciąż się z tobą zadaje, Emilio. Kiedy ty zmądrzejesz ?”

„Wiem, że właśnie za to mnie lubisz.” - Emilia uśmiechnęła się i stuknęła Gerarda honetową piłką (o konstrukcji plastra miodu, genialnie można było wyprofilować jej lot) prosto w przyciemniane soczewki, po czym pobiegła do swojego ręcznika, który już odrobinę zanurzył się w falach.

„Ehh. Ta dziewczyna mnie wykończy” - uśmiechnął się Gerard, po czym wrzucił swój ręcznik do wody i wskoczył na niego.

Rozważała czy nie strofować go za to, że znowu niszczy ręczniki. Były nieprzemakalne i nie przyjmowały wody, ale mimo to, szybko się zużywały jeśli się na nich pływało. A kto dzisiaj nie dba o rzeczy, jeśli przy właściwym wykorzystaniu służą dziesiątki lat! Wszystko jednak wskazywało na to, że Gerard się tym nie przejmował. Dobrze mu się żyło i nie narzekał na brak pieniędzy. Zauważyłam, że dochodziła 22:00. Powinniśmy już wracać, bo rodzice będą się niecierpliwić. Tak też zawołałam do Gerarda, na co odparł, że jeszcze minutkę i już lecimy.

Trochę bałam się wracać po zmroku. Musimy pokonać kilkadziesiąt kilometrów przez pobliskie lasy. Tutaj wszędzie są lasy. Jest morze, też ogromne, ale nie wiem sama co dominuje. I pomyśleć, że paręset lat temu, piętrzyły się tu ruiny dawnych, barbarzyńskich cywilizacji, których jakiś kruchy, cenny odłamek raz na parę lat morze wyrzuciło na brzeg. Podobno kiedyś to morze, połączyło się z innymi, zalało jakieś północne lądy. Podobno było świadkiem krwawych wojen biologicznych, wojen laserowych, maszynowych i pogrzebało pod swoim kobiercem setki tysięcy ludzi i innych stworzeń czy kreacji. Dzisiaj, nikt nie był w stanie powiedzieć co właściwie miało tu miejsce. Jedno było pewne, że nasza cywilizacja XXV wieku zdołała odfiltrować całe biologiczne zniszczenie środowiska i żyć w zgodzie, zapominając o dawnych technicznych głupstwach. Zdecydowanie ludzi zmądrzeli od tego czasu, zbyt długo ucząc się na błędach i omal nie niszczyć świata.

Było ciemno, kiedy samochód wytoczył się ze ścieżki. W tej części Pomorza, drogi nie były naświetlane. Świecącą nawierzchnię stosowano na dłuższych trasach, omijających lasy. Nam wystarczył noktowizor zainstalowany

w przedniej szybie, który automatycznie przerabiał obraz na dzienny. Na szczęście tym razem, nie spotkaliśmy żadnych niedźwiedzi i jeleni. Często stawały na drodze i trzeba było włączać wtapianie w tło i długo czekać, ażzejdą. Gerard wysadził mnie pod domem. Wychodząc z samochodu po ciemku potknęłam się o trampolinę. Moja siostra potrafiła godzinami skakać z koleżankami, ale nigdy nie pamiętała, żeby włączyć składający ją guziczek.

Gerard mieszkał dalej, w dość opustoszałej okolicy. W pobliżu jego domu była bowiem strefa 0. Właściwie nikt do końca nie wiedział, skąd taka nazwa. Strefa zero ciągnęła się od cypla w stronę zachodnią i kilometrami w głąb morza. Krążyły plotki, że znajduje się tam jakaś maszyna sprzed wieków, do której dostęp ma tylko kilku naukowców. Nikt nie wie skąd się wzięła. Nikt nie wiedział do czego tak naprawdę służyła. W strefie zero, znajdowały się budynki Instytutu Badań Morskich i Kosmicznych (IBMiK), tam właśnie pracował Gerard. Opowiadał nieraz, że kilku śmiałków próbowało włamać się do podwodnego pomieszczenia, gdzie miała znajdować się historyczna i tajemnicza maszyna, ale podobno samo przepłynięcie kilkuset metrów dalej uniemożliwiał rodzaj błota zawierającego jakąś żrącą substancję. Sama maszyna, czy cokolwiek to było, znajdowała się zaś podobno w głębinie morskiej, otoczona adamantowymi ściankami, jak wskazywały badania Tellura. Adamantium to stop, którego na Ziemi było bardzo mało. Ostał się tylko u nas na północy, dzięki naszemu klimatowi, który nie pozwalał czarnej materii wsysać pewnych pierwiastków kilka wieków temu. Nikt ze współczesnych nie wiedział skąd się wzięło i kiedy je wyprodukowano. Wiadomo jedynie, że nie ma mocniejszego metalu i nic nie jest w stanie go zniszczyć (poza tym jednym razem, kiedy czarna materia wchłonęła wszystkie złoża metalu za Ziemi poza naszym klimatem). Każdy miał swoje teorie na ten temat. Osobiście - byłam za tym, żeby zostawić ten obiekt w spokoju. Starożytna ludność europejska, która zamieszkiwała te tereny, kiedy świat był jeszcze podzielony oceanami, była wg mnie niegodna zaufania i uwagi. Wystarczy przypomnieć sobie z historii, kiedy budowali samoloty bez opcji lądowania na resorach, czy pociągi, które hałasem straszyły zwierzęta na hektary. Nie wspominając już o tym, że tak zanieczyścili morze, iż wciąż jeszcze nasze filtry znajdują w nim cuda. Cywilizacja, która wymyśliła nierozkładalny i bezużyteczny plastik i gumę, phi. Aż nie chce się wierzyć, że jednocześnie wyprodukowali sporo dobrej kultury. Więc mimo, że normalnie jestem bardziej za „ocalić od zapomnienia” niż „dni których nie znamy”, w przypadku historii tych barbarzyńców, zastanawiam się czy warto ocalić.

Wszedłem do kajuty i ostrożnie zamknęły się za mną drzwi. Wymagana była całkowita kontrola nad sytuacją. Spojrzałem na doktora, był nieco przybity.

„Dryfujemy już tak tyle czasu. Nie jestem przekonany że to ma jakiś sens...” - zaczął po raz kolejny, a ja cmoknąłem tylko z dezaprobatą.

„Proszę mi wierzyć, doktorze, właśnie teraz doszliśmy za daleko by się cofnąć” - spojrzałem na Avane'e znacząco. Pochylał się nad stolikiem, w ręku miał skalpel laserowy. Przed sobą miał zaś te piękne i cudowne stworzenia. Naganiałem się za nimi od 2060, ale było warto. Wirki były małymi płazińcami, trudnymi do dostrzeżenia gołym okiem, ale tak cennymi, że mógłbym biegać za nimi nawet drugą połowę naszego wieku. Wirków było mało, tylko cztery, za to za nimi w super cienkich, naturalnie dotlenianych terrariach stały małże i żółwie. Wiatr znowu wstrząsnął Bałtykiem tak, że nasza Vessla ledwo się nie przewróciła. Chciałem podejść do mapy holograficznej i sprawdzić czy są jakiekolwiek widoki na dobijanie do brzegu. Z daleka widziałem dokładnie zarys jakiejś kotliny. Doktor Avane'e ściągnął fartuch z whatomów, bardzo wygodny - nie trzeba było go prać czy sterylizować, bo zawarte w nim rzęski (whatomy) odpychały inne substancje i pierwiastki. Próbowałem wyminąć skomplikowany stolik, operowany systemem Tellur, przystosowany do badania naszych obiektów pod każdym możliwym kątem (wystarczyło położyć obiekt i wybrać odpowiednią opcję a na monitorze w mojej soczewce wyświetlały się dane lub obrazy o które pytałem), jednak kolejne turbulencje mi to uniemożliwiły. Wówczas to zdziwiłem się, że Avane'e, który był drobnym, chudym, zasuszonym mężczyzną, zupełnie nie przejmuje się sztormem i jak gdyby nigdy nic nadal zwija papierosa z defutyrowego papieru (supercienkiego, supertrwałego produkowanego przez jedwabniki). Chociaż od kilkudziesięciu lat, papierosy nie zawierały żadnego szkodliwego składnika, odrzucały mnie jakoś. Ciągłe pozostał w nich ten gorzki smak i uzależniające przyzwyczajenie. W końcu udało mi się złapać równowagę i w momencie kiedy właśnie miałem minąć plecy Avane'e poczuł nieziemski ból...

„Bo Ty Emila, jesteś zapałką, łatwo płoniesz gniewem i łatwo Cię zgasić czy złamać.” - powiedział Gerard kiedy następnego dnia jechali razem na przejażdżkę. Było ciepło, chociaż nie byłam pewna, czy to nie przez to, że wszystko produkowano teraz z termomolekuł. Temperatura ubrań sama regulowała największy komfort dla noszącego. Samochód Gerarda był w całości sterowany panelem wyłapującym ruchy palców. Dawny pomysł ściągnięty prosto od twórców komputerów operowanych gestami. Gerarda nie byłoby na niego stać, gdy-

by nie pracował w Instytucie. Zresztą, ja ciągle nie mogłam dorobić się nawet zwykłego samochodu na wodorek. Korzystałam na ogół z butów aerodynamicznych, które pozwalały biec kilkanaście centymetrów nad ziemią - co przy dobrym wietrze działało jak wiatr na żagłówkę. Tymczasem dojechaliśmy do wąwozu. Zaparkowaliśmy na skraju lasu i zaczęliśmy schodzić po jego stromych ścianach. Wąwóz był najstarszym elementem krajobrazu Półwyspu, niezmienionym przez tysiące lat. Podobno wyglądał dokładnie tak samo, przed erą wojen technologicznych. Kilkanaście wieków temu, w jego pobliżu znajdowała się wioska znana jako Włady, jednak od wieków już nikt nie mieszkał na terenach tak bardzo wysuniętych na w morze. Ludzie zdecydowanie wolili centralną część Pomorza, tam były miasta, pełne rzędów heliotropów. Tam ulice podświetlano od zachodu słońca. Tam ludzie gromadzili się w sklepach z różnymi fakturami materii odzieżowej (wystarczyło kupić kawałek materii, zanieść go do ukształcacza, który każdy mógł kupić, a materia miała właściwości zmieniania koloru i wzoru). Tam były punkty upgradowania oprogramowania obsługi heliotropu (jeśli zmieniła się pora roku, i chciałeś by twój dom obracał się wolniej niż w wersji standardowej), tam wreszcie znajdował się ośrodek rozrywek wszelakich. My z Gerardem, zdecydowanie jednak preferowaliśmy naturę i bliskość tej wzburzonej niekiedy aksamitnej wody. Tutaj nie było czułych kamerek, które mogły spryskać cię gazem łzawiącym jeśli zeskanowały w tobie łamanie prawa miasta. Tutaj człowiek nie czuł się tak samotny, jak w tłumie ludzi, którzy nie mieli nawet czasu na samodzielne rzucenie kulek Roomby (były to żelowe kulki, które rozproszone po mieszkaniu usuwały kurz i brud). Programowali wszystko za pomocą Tellura304. Dla mnie było to szczytem lenistwa, i narażeniem na niedokładność.

„Zrobiłaś lekcje?” - Gerard wtrącił nagle.

„Tak, rano przy śniadaniu włączyłam strumień świadomości. Udało mi się dzisiaj przyswoić podstawy języka nowocentrochińskiego.”

„Bez sensu, mam teraz świetną aplikację, skanujesz litery a wyraz ci się tłumaczy, obojętnie z jakiego języka i obojętnie z jakiej powierzchni”.

„Wiesz, że nie lubię chodzić z całym tym technologicznym złomem. Ogólnie staram się ograniczać Tellura304. Nawet specjalnie zainstalowałam sobie mikrotelefon w zębie, żeby nie nosić ze sobą wiecznie soczewek z komputerem”.

„Telefon w zębie. Nie sądziłem, że ktoś jeszcze tego używa. Który model? N3310?”

„Jasne, niezniszczalny. I dobry, przesyła ci głos prosto w ucho wewnętrzne a jak mówisz, słyhać choćbyś stał w pobliżu rakietowiska.”

„Ja ciągle czekam aż Mapple09 wyda ten prototyp transferu danych z myśli do soczewki. W końcu byśmy mieli pełną poufność rozmów. Czyli języki jakoś ci idą, a jak konstrukcja cylindrów?”

„Umiem. Uczylałam się parę dni temu. Tylko jeszcze powtórzę raz czy dwa. Mój mózg jest dość pojemny, jak na mój wiek”.

„Trudno. I tak dużo umiesz, ja w twoim wieku miałem gorzej. Wtedy potrafiliśmy wykorzystać tylko 70% ludzkiego mózgu. Te pięć procent więcej dużo daje.”

- Kiwnięciem głowy zgodziłam się z Gerardem. Położyliśmy się na macie aerodynamicznej. Noc była tak piękna, jak tylko morze być. Gwiazdy odbijały się w tafli morza. Księżyc był w pełni, było przyjemnie i ciepło. Nagle jednak coś się zmieniło. Najpierw do moich neuronów dobiegł niepokój. Potem chyba Tellur304 coś wyczuł, bo Gerardowi włączył się automatycznie noktowizor w soczewce. Powiał zimny wiatr. Gerard objął mnie, ale to nie przerwało dreszczy. Nasze ubrania podgrzały się nieco, na nic to jednak się nie zdało. Zauważyłam, że między gwiazdą Xinperor, a punktem oddalonym o jakieś 10 km od nas w głąb morza, wytworzyła się trąba powietrzna. A przynajmniej tak mi się wówczas wydawało.

Poczułem okropne pieczenie w każdej komórce ciała. Zupełnie jak gdyby ktoś przyspawał mi skórę do kości. Nie mogłem się poruszyć, ledwie wydawałem powietrze jednym nozdrzem. Nic nie widziałem i miałem wrażenie że nie mogę otworzyć oczu. Jedynie myśli zaczęły mi wracać. Leżałem tak kilka godzin. Moje ciało czuło się fatalnie, nie czułem w jakiej pozycji, na czym lub pod czym leżę. Wydaje się, że następnie zasnąłem. Obudziło mnie światło. Uderzało przez jedno oko prosto do mojego mózgu. Czyniło ogromny ból moim neuronom. Światło wdarło się przez drugie oko. Nic nie widziałem.

Zauważyłam, że jest jakiś impuls. Źrenica się rozszerzyła. Tyle lat, tyle starań. I jest jakiś efekt. Językiem kliknęłam w ząb i zadzwoniłam do Gerarda.

„Gerard. Musisz to zobaczyć, przyjdź tu natychmiast. Mamy jakiś odgłos.” Drugą powiekę również udało mi się w końcu otworzyć. I ta źrenica się poszerzyła. A więc jest. Jest szansa, że będziemy mieli jedynego, który przeżył. Po tylu latach.

„Pamiętam jak dziś Emilio, kiedy widzieliśmy tę trąbę protonów. Zastanawiałem się, czy cię stracę. A potem ta kapsuła wyskoczyła na powierzchnię. Gdybyśmy wtedy mieli pojęcie! Nigdy nie marzyłem, że po 20 latach będę stał obok ocalałego i obok mojej własnej żony, która tego dokonała”.

Emilia wzruszyła się na tę przemowę, ale jeszcze nie chciała ulegać optymizmowi. Kiedy dwadzieścia lat temu, stali w wąwozie, a protony wytworzone przez burzę materii przetrzebiły 300 km³ morza i zniszczyły ten fragment dołu próżniowego, który obrósł nad kapsułą, była tylko naiwną dziewczyną. Teraz jako profesor IBMiK obchodziła jubileusz i wielki sukces projektu Xinperor.

* * *

Światło przeszkadzało mi jeszcze jakiś czas. Zdawało się, jakby były to całe wieki, ale mogły to być tygodnie lub dni. Po pewnym czasie zaczęły do mnie dobiegać dźwięki. Najpierw niezrozumiałe jakby ktoś próbował coś mówić z zakneblowanymi ustami. Potem wyraźne pikanie jakieś urządzenia. W końcu stwierdziłem, że słyszę ludzką mowę. Pewnego dnia, zbudziłem się nagle. Otworzyłem oczy i zobaczyłem jasne światło. Tym razem widocznie rozróżniłem jego cienie grające na powierzchni czegoś co zapewne było sufitem. Metal odbijał gdzieś tam łagodniejsze blaski. Tego dnia wyraźnie usłyszałem i rozróżniłem dwa głosy, kobiecy i męski. Niestety niczego nie mogłem zrozumieć. W końcu łagodna, pociągła twarz dziewczyny na oko trzydziestoletniej pochyliła się nad moją. Musiała zauważyć jakiś ruch w moich żrenicach, bo rozwarła szeroko oczy i zaczęła głośno mówić, jakby w ekscytacji. Po chwili zjawił się obok niej niewiele starszy mężczyzna. Rozmawiali uśmiechając się od ucha do ucha. Od tego czasu, przychodzili codziennie i pochyłali się nade mną. Miałem wrażenie, że prowadzą jakieś badania, że robią coś z moim ciałem, ale niczego nie czułem. Żyłem jednak, co dziwiło mnie niezmiernie. W końcu delikatne vibracje jakiegoś metalu, dały mi się odczuć na kończynach. Najpierw poczułem to na skórze nóg. Stopniowo na całym ciele. Nie mogłem jednak nawet o milimetr posunąć głowy.

* * *

Emilia była bardzo zadowolona. Od dwóch tygodni obiekt zaczął wyraźnie reagować. Temperatura jego ciała się ustabilizowała. Wskaźniki pokazywały respond jego zakończeń nerwowych. Nie wiedziała czy mężczyzna słyszy cokolwiek. Starła się do niego mówić, stać na wysokości jego wzroku. Pokazywała kolory i widać było, że akcja jego serca się zmienia. Z niecierpliwością oczekiwała dalszych efektów. Wraz z Gerardem, zainstalowali oprogramowanie, które masowało i ćwiczyło jego mięśnie. Było to jakby oczekiwanie na narodziny dziecka, na zauważenie jego pierwszego najdrobniejszego ruchu. Była już znana na całym świecie. Informacja o odnalezieniu kapsuły z żywym organizmem, który przebywał tam bardzo długi czas obiegła świat. Instytut Badań Morskich i Kosmicznych, zaczął cieszyć się tak dużym zainteresowaniem, że właściwie jakiejkolwiek instytucje go odwiedzały, nie były zainteresowane ani produkcją bursztynu, ani odzyskiwaniem wody,

ani przerabianiem muszli i glonów na kosmetyki i lekarstwa. Wszystko to stało się drugoplanowe w oczekiwaniu jakby całego świata na ruch człowieka, który musiał przeżyć piekło na samym dnie morza. Inni naukowcy, pod przewodnictwem Gerarda dokładnie zbadali to, co ujawniła trąba protonowa. Wyglądało na to, że całe wieki temu kapsuła adamantowa wpadła w tę część dna morskiego, którą kilkaset lat wcześniej wypełniła czarna materia, za pewne w okresie wojen technologicznych, co wskazywało na wiek XXII. Jeśli wszystko co przewidywali okazałoby się prawdą mieli do czynienia z cudem, prawdziwym cudem czasu.

W końcu nadszedł ten dzień kiedy mężczyzna poruszył palcem. Jego serce zaczęło bić niesłychanie szybko. Po kilku godzinach poruszył następnym. W ciągu tygodnia był w stanie unieść całą rękę. Gerard i Emilia wiedzieli już, że mężczyzna ich słyszy, ale nie rozumie. Stworzyli więc program, który podłączony do jego mózgu emitował sygnały reprezentujące jego impulsy mózgowe. Program trenował jego narządy mowy i odpowiedzialną za nie część mózgu. Próbowali wiele uczynić by zrozumiał choć jedno ich zdanie. W końcu, gdy wyczerpali już wszystkie znane im języki, uciekli się do starożytnych. Był to szalony pomysł, ale wart wypróbowania. Zdawało się, że reaguje na starożytny europejsko-wschodni.

Nie wiem czy to sen, ale słyszałem dziś swój własny rodowity język. Zadano mi pytania czy rozumiem, poruszyłem palcami na tak. Moje mięśnie wydają się znacznie bardziej gibkie. Mogę już otworzyć usta. Mam wrażenie jakby chrypy, która jeszcze nie pozwala mi mówić, ale już wydawać pewien dźwięk. Wiem już, że ludzie ci to naukowcy, Emilia i Gerard. Mówią, że ... coo? XXV?

„Gerard, zrób coś. Stracił przytomność. Ciało wykazuje znamiona szoku!” - byłam przerażona myślą, że teraz, po tylu latach możemy stracić człowieka, który jest kluczem do wszystkiego.

„Robię Emilia, robię. Tellur, podaj 2 jednostki epimefryny C10H13NO3 ” - i tak. Człowiek wyraźnie aż cały podskoczył. Rozwarł szeroko oczy, serce biło nadzwyczaj szybko. Wziął wielki haust tlenu. Nie powinienam była mówić o czasie. Po co to robiłam. Przecież on jeszcze z niczego nie zdaje sobie sprawy.

„Nie mogę sobie wybaczyć. Nawet gdyby wybudził się ze śpiączki po 20 latach, ale on. Mamy go mamy, Gerard. Tellur, dzwoń do CAMK, natychmiast.” - zaczęłam mówić bez ładu i składu. W końcu. Ogarnęło mnie podnie-

cenie, tyle czasu, tyle badań, tyle wysiłku nie może się zmarnować. W soczewce zobaczyłam, że profesor Dratti jest na linii.

„Profesorze, proszę natychmiast zjawić się u nas. Mamy przełom w projekcie Xinperor. Obiekt reaguje, zaczynamy wspomaganie aparatu fonacyjnego”. Wszystko działo się błyskawicznie. Stymulowana krtań, wiązadła, nasze sztucznie wstawione chrząstki - wszystko za kilka chwil powinno doprowadzić do dźwięku u tego człowieka.

„Emilio, słyszysz... Tellur, Tellur podgłośnij, umocnij, wprowadź kod C19 do tłumaczenia” Gerard był bliski zemdenia z ekscytacji.

I wówczas stało się, nadeszła ta chwila. Mężczyzna, który był dla nas tak ważny przez te wszystkie lata, a przecież zupełnie nam obcy w końcu przemówił:

„Ja. ja, gdzie ja jestem” - powiedział. Tłumaczenie wyświetliło się im w soczewkach, ale rozłączyli je zaraz. Przez taki czas oczekiwania, nauczyli się perfekcyjnie staroeuropejskiego.

„Wszystko w porządku, jesteś cały, jesteś bezpieczny. Nazywam się Emilia, to mój mąż Gerard. Niczym się nie przejmuj, opiekujemy się tobą w Instytucie odkąd twoją kapsułę wyrzuciła z dołu próżni trąba protonowa.” - powiedziała miękko, starając się mówić wyraźnie i stać tak, by mnie jak najlepiej widział. Choć mógł ruszać już kończynami i obracać głowę, nie było mowy o jakimkolwiek innym wysiłku.

„Czy możesz nam powiedzieć jak się nazywałeś? Przez te wszystkie lata, nazywaliśmy cię Xinperor, to od gwiazdy, która wywołała tak silne pole magnetyczne, że protony przetrzebiły morze, w którym się znajdowałeś. Siedzieliśmy na brzegu, byliśmy świadkami. Zabraliśmy cię do instytutu i cóż. Właściwie jesteś naszym pupilem.” - Gerard uśmiechnął się, nie chciał mówić, że to dzięki temu mężczyźnie i niebывалemu szczęściu, mamy pracę, sławę i coś co uwielbiamy robić. I możemy robić to razem, od 20 lat.

„Jestem profesor Douglas Maciena. Ale. Ile czasu tam byłem chcę wiedzieć wszystko. Proszę wytłumaczcie, jak to, jak to możliwe że to XXV wiek. Co się stało. Ja przecież. Ja, ja pochodzę z wieku XXII! Byłem na eskapadzie. Po wojnie, po wojnie technokratów. Cały świat stał w płomieniach. Ludzie, oni użyli wszystkiego przeciwko sobie. Były ogromne straty, świat który znałem, zupełnie przestał istnieć. Morza się połączyły, zostały wysepki. Broń jądrowa rozsadziła niektóre kontynenty. Niewielu to wszystko przeżyło.”

„A więc jesteś świadkiem wojny technologicznej. Wiesz, o tym się uczymy, ale już prawie żadne ślady nie pozostały po tamtych cywilizacjach. Jesteśmy potomkami tych, którzy wzięli co zostało i zupełnie odeszli od ogłupie-

nia, od masywnych bloków, wiesz mamy domy, które obracają się względem słońca, niezbyt chętnie używamy technologii do zabawy, jest tyle potrzebniejszych i tyle ciekawszych rzeczy. Tyle natury. Odbudowaliśmy to. Więc co się stało ” - poczułam, że mam potrzebę wydania jakiegoś słowotoku.

„Świat stał w ogniu. Byłem naukowcem. Pracowałem wraz z moim przyjacielem doktorem Avane'e. Zajmowaliśmy się badaniami nad organizmami morskimi, znajdującymi się u wybrzeży tego, co było kiedyś Morzem Bałtyckim, wirkami. To takie płazińce, które żyły na ziemi miliony lat. Zdobyliśmy tylko cztery. Wirki miały też możliwość przeistaczania się ze stadium dojrziałych, do fazy niedojrzałej. Tak w kółko. Taki cykl trwał miliony lat, więc doszliśmy do wniosku, że to recepta na nieśmiertelność. Dodatkowo, badaliśmy skuteczność morskich żółwi i małż, które również wykazywały się długowiecznością. Zbudowaliśmy w tym celu specjalny statek - laboratorium, biedna Vessla. Wszystko trwało 30 lat. Niestety, w końcu na świecie wybuchła wojna. Ludzie atakowali się przez cyberświat, w odpowiedzi były ataki jądrowe. Wszystko poszło o słodką wodę, na świecie zabrakło wody, a nie mogliśmy jej pozyskać znikąd.”

„Tak, teraz mamy pewne złoża na Marsie.” - wtrącił Gerard.

„Co, możemy dolecieć na Marsa” - Douglas był w szoku.

„Jeszcze wiele rzeczy cię zdziwi. Tak możemy, ale traktujemy tę planetę, właśnie jako zbiornik wodny. Woda zebrała się tam kilkaset lat temu, po jednej z wielu meteorytowych burz naszego kosmosu” - wytłumaczyłam - „ale proszę, mów dalej”.

„Poszło więc o wodę. Były supermocarstwa. Każdy kontynent miał swoje. Była też wojna danych, dane to było coś co nas otaczało, zjadało. Technologia w każdym milimetrze, ludzie głupieli, przestali wychodzić z domu, przestali jeść, wszystko działo się w świecie wirtualnym, wszystko na usługach. Pieniądze istniały tylko w przestrzeni wirtualnej i przesyłane były tyłoma strumieniami, że ich kradzieże były nagminne. W końcu utworzył się front Konwencji. Ludzi, którzy mili dość tej jednej wielkiej pogoni z bronią. Jednakże i oni, zaczęli napadać ludzi. Uciekliśmy przed nimi na naszą Vesslę. Mieliśmy trochę broni ultradźwiękowej. I tam w spokoju prowadziliśmy badania. Aż któregoś dnia nastąpił chyba atak biologiczny. Jedyne co pamiętam, to fakt, że mój organizm stracił ciepło i upadłem. Coś musiało mnie dopaść już gdy wyszedłem na chwilę na pokład. Avane'e trzymał się lepiej. Zaczął czuć lekkie zimno, ale to ja mdlałem. Mieliśmy strzykawki z adrenaliną w razie czego. Zdążył dać mi potężny zastrzyk i zaczął wciągać do kapsuły. Mieliśmy ją jako zdobycz w jednej z walk. Adamantowa, chyba je-

dyna jaka została. Przetrwiała tylko w naszym klimacie, na morzu. Kapsuła miała służyć za schron w razie ataku jądrowego. Adrenalina zaczęła działać wczółgałem się do środka. Ale Avane'e chciał koniecznie zabrać wirki. To było jego życie, to była jego praca. Były dla niego tak cenne jak jego własne życie. Potem usłyszałem już tylko huk. Kapsuła się zatrzęsnęła. Zemdlałem. Avane'e został."

Douglasem wstrząsnął jakiś spazm, na to wspomnienie. Ale miał wiele pytań. Emocje się w nim kotłowały. Kontynuował: „Ale, jak to się stało, że tu jestem. Jak mogłem przeżyć ponad tyle lat? Jak to jest, że jeszcze tu jestem? Że mówię. Przecież. To nie, tak nie może być na prawdę."

Takie pytania cisnęły mi się na usta przez ostatnie 20 lat. Z Gerardem, poświęciliśmy niezliczone ilości godzin na rozmowy, badania, konsultacje ze specjalistami CAMK (Centralna Agencja Morsko Kosmiczna). Morze, tak wielkie, powiększone przez tyle wieków, miało niesamowite oddziaływanie na gwiazdy tuż nad nim. A te gwiazdy, które tak samo jak zbiorniki wodne, zbudowane są z wodoru swoim polem grawitacyjnym, od czasu do czasu wywołują ciągi protonowe. To, że Douglas żyje, zawdzięczać trzeba by gwieździe Xinperor.

„Gerard, może ty to wyjaśnisz profesorowi bardziej naukowo?” - zapytałam.

„Dobrze, więc, profesorze. W momencie w którym znaleźliśmy pana kapsułę, a nasze komputery od wielu wielu lat, wykazywały obecność adamantium w tej sferze, zwanej przez nas strefą 0."

„Pomahu, dlaczego strefą zero?” - przerwał Douglas.

„Ponieważ, z jednej strony wiedzieliśmy, że tam coś jest, coś starożytnego. Z drugiej, nie mogliśmy się tam w żaden sposób dostać. Widzi pan, dookoła kapsuły zostało zassane przez prąd protonowy, lub nawet czarną materię, powietrze i w ogóle, wytworzyła się tam próżna. W kapsule zaś były ślady wody morskiej z solą, która miała działanie na pana ciało w sposób... cóż..."

Gerard nie był pewien, jak to sformułować, ale profesor chyba wiedział: „Zasuszający? Czyli wszystkie moje mięśnie, moje ciało, wszystko zastygło, przestało się rozwijać, zostało zmarynowane...” - mówił dziwnym głosem. Ale cóż, niecodziennie człowiek dowiaduje się, że był zmarynowany.

„Mniej więcej” - dodałam. - „Wydaje nam się, że jedynym wytłumaczeniem dlaczego pan jeszcze żyje, jest fakt, że w adrenalinie, którą panu podał doktor Avane'e - znajdowały się ślady nieznanej substancji, która zahamowała wszystkie procesy w pana organizmie, ale żadnego nie zniszczyła."

„Avane'e, a niech cię wszyscy diabli. Teraz wszystko jasne. Ostatniej nocy, kiedy się widzieliśmy, Avane'e wcale nie skręcał papierosów. Dodał sub-

stancję odzyskaną zwirków do adrenaliny. I jestem pewien, że to dlatego miałem zawroty głowy. Potraktował mnie jak szczura eksperymentalnego, jeszcze zanim wstrzyknął mi dawkę! A niech go!" - zaczął się śmiać i krzyzczeć jednocześnie Douglas.

„Widzisz, dzięki chytrłości i całkowitej manii uzyskania odpowiedzi na pytania o nieśmiertelność, uratował ci życie” - zamyślił się Gerard.

„Ale, czy wy, po tylu setkach lat, jeszcze nie odkryliście nic, co pomogłoby człowiekowi stać się niezniszczalnym” - zapytał nagle nieco zawiedzony Douglas. - „Wyobrażałem sobie, że w przyszłości wszyscy będą zdrowi i wręcz nieśmiertelni.”

„Do naszych czasów nie przetrwały wirki. Robiliśmy badania jedynie na skorupach żółwi morskich i małży, tak jak pan profesorze. Mamy pewne efekty. Ludzie żyją teraz średnio 200- 300 lat. To dlatego, my wciąż wydajemy się tacy młodzi” - roześmiała się. - „Możemy zastępować wiele części ciała technologią, oczy mogą widzieć, uszy słyszeć, serce bić, ale nic nie daje nieśmiertelności. Naszego mózgu nie da się nagle zastąpić. Nie da się tak ustawić wszystkich mechanizmów, by działały jak człowiek. Nie budujemy sztucznych ludzi, jesteście mądrzejsi niż cywilizacje XXII wieku. Czytamy literaturę, dzieci bawią się, spotykamy się z ludźmi i rozmawiamy - udoskonaliliśmy możliwości przemieszczania się. Mamy zaawansowane komputery i sprzęty, nawet jak widzisz, teraz Tellur305 stabilizuje twoje ciało...” - widziałam, że profesor chce coś powiedzieć.

„Tellur był już za naszych czasów, ale nie tak udoskonalony” - profesor leżał z otwartymi ustami. Ciężko oddychał, ale pokazał ręką żeby mówić dalej.

„Ale nie jest to kwintesencja życia. Przefiltrowaliśmy wodę, mamy piękne lasy, bogate w zwierzęta i rośliny. Nie mamy zgubnych nawyków, mamy wolności, ale i wspólne prawo. Mamy naukowców, a nie mamy urzędników. Nie jest najgorzej” - dodał Gerard.

Spojrzelismy po sobie i stwierdziliśmy, że należy dać czas Douglasowi na odpoczynek. Rozmowa męczyła go.

Zaraz miał przyjechać ktoś z CAMK. Wyszliśmy na korytarz, Gerard mnie przytulił. Oto dzień, w którym wreszcie będziemy wiedzieli co było przed nami. Chociaż, czy to aż tak ważne. My z Gerardem patrzymy w przyszłość z nadzieją. Patrę, jako człowiek, który wie, że „ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy”.

Lidia Zdzitowiecka

Jabłonka

I widziałem, gdy otworzył szóstą pieczęć, a oto stało się wielkie trzęsienie ziemi, a słońce czerniało jako wór włosiany i księżyc wszystek stał się jako krew. A gwiazdy niebieskie padały na ziemię, tak jako drzewo figowe zrzuca z siebie figi swoje niedostałe, gdy od wiatru wielkiego bywa zachwiane. A niebo ustąpiło jako księgi zwinione, a wszelka góra i wyspy z miejsca się swego poruszyły.

Biblia Gdańska: Objawienie Jana 6,1

Prawdziwe zainteresowanie wzbudziła Bebe i jej mikroskopijny ogród, gdy pierwsze gałązki drzewka zaczęły sięgać poza brzeg donicy. Robotnicy z całego kombinatu przychodzili zobaczyć to dziwadło.

Pewnego sierpniowego popołudnia Bebe przez dłuższą chwilę przyglądała się drzewku. O tej porze roku światło nabierało specyficznego charakteru. Kiedy myślała o tym szczególnym natężeniu gasnącego światła pod koniec lata zawsze bolało ją serce - ciepła pora roku dobiegała już końca.

Bebe nie pojawiła się następnego dnia w pracy, ani już w żaden kolejny. W fabryce zawitał jednak wysłannik z Urzędu Wezyra i ostentacyjnie wrzucił drzewko do pieca hutniczego.

Bebe nie żyła już od roku, gdy kobiety na przerwie obiadowej opowiadały sobie o pewnej dziewczynie, która wyhodowała kiedyś małe drzewko. Mężczyźni z sąsiedniego kombinatu mówili o takiej jednej, która żyła kiedyś w tamtej fabryce i założyła tam ogród. Do fabryk na południu dystryktu dotarła natomiast informacja, że gdzieś tam na północy ludzie mają piękne zielone sady. Kiedy historia o samodzielnej osadzie rolników z północy, którzy uwolnili się spod jarzma Księżyca, dotarła do kombinatu zbrojnego, cały zakład pomyślał, że tak naprawdę, też by tak mogli.

Kolektyw robotniczy należący do Islamskiej Ligi Słowian mieścił się na zachód od byłego terenu Wolnego Miasta Gdańsk i był najbardziej wysuniętą na północ kolonią podlegającą Półksiężycowi. Na robotnicze miasteczko spadała nocą gęsta mgła nadając mu charakter wymarłej osady. Dziesięciopiętrowe bloki mieszkalne już dawno przemieniły się w kupę gruzu na skutek wybuchu gazu kuchennego, tudzież upadły pod ciężarem zalegającej na dachach warstwy lodu i śniegu. Co prawda pozostało tu jeszcze kilka małych domków ze spadzistymi dachami, które ewentualnie nadawały się do za-

mieszkania, jednakże ich cienkie ściany nie zabezpieczały przed północnymi wiatrami i zawiejami śnieżnymi.

Co ważniejsze jednak, lokalny Divan zalecał by ludność pochodzenia europejskiego osiedlała się w ośrodkach zamieszkania zbiorowego, najlepiej na terenie strzeżonym i zamkniętym. Wówczas można było liczyć na względnie stałe dostawy opału, tym samym - na przeżycie.

Zadanie kombinatu polegało głównie na dostarczaniu półproduktów dla Półksiężycy. Fabryka wypełniała Wolę Bożą głównie poprzez przetwarzanie złomu w wyższej klasy metale. Swojego czasu tutejszy węzeł przetopowy przemielił wszystkie płoty, rynny, lampy uliczne. Przetopiono również brązowy pomnik pana w płaszczu.

W kolejnym etapie prac kilkusobowe brygady robotników przetrząsały ruiny domów w poszukiwaniu puszek, instalacji elektrycznych i metalowych sprzętów gospodarstwa domowego. Ile skarbów można było wtedy jeszcze znaleźć! A ile dzieci się potem urodziło. Z czasem z coraz większym trudem można było coś odkopać. Wypadły z roku na rok zmniejszały swoją częstotliwość.

Dziś wieczór, pierwszy raz po długiej zimie, piec nie ogrzewał mieszkalnej hali robotników. Temperatura sięgała w ciągu dnia dziesięciu stopni, znak, że lato trwało już w najlepszej.

Bebe usłyszała je pierwszy raz tej nocy, kiedy śnieg już stopniał i na stokach wzgórz pojawiły się pierwsze pędy traw. Gdy noc zapadała nad martwym miastem, słaby, kryształowy głos wydawał się senny i mroczny, jak świszczący szept starych ludzi bez zębów, ale bardziej krystaliczny, odbijający się echem po całej dolinie. Bebe nie mogąc zasnąć na swojej drewniano-sznurowej, misternie skonstruowanej pryczy, wsłuchiwała się w dźwięki dochodzące z pokrytych martwymi drzewami wzgórz, nabrała osobliwego przeświadczenia, że odgłosy te skierowane są właśnie do niej, nawołują ją, jak to czasami wołał do niej kierownik zmiany. Przez dłuższy czas miała nawet wrażenie, że rozumie ten piskliwy język:

- Pospiesz się, Bebe. Czekamy ciebie. Pospiesz! Pospiesz! Bebe!

Tak więc wstała dziś wcześniej rano, choć nie przespała prawie całej nocy. W jej głowie kołatała się jedna tylko myśl: odpowiedzieć na wezwanie i dostać się na wzgórze. Wewnątrz Bebe ścierały się nadzieja i niepewność. Skąd miała wiedzieć, że ten obcy głos przyzywał właśnie ją? Nie знаła obcych języków, a po naszymu nie umiała nawet pisać. Znała tylko jedną literę starego alfabetu.

-To litera C. C jak cement - pochwaliła się kiedyś przed nią swoją wiedzą Kicia - jedna ze starszych pracownic kombinatu. Bebe spojrzała w stronę hałd odpadków i piachu otaczającego fabrykę. Rzeczywiście, leżał tam jakiś obiekt - przewrócony lata temu pomnik. Tak oto Bebe dowiedziała się, że litera C miała kształt betonowego półokręgu obrośniętego trującym bluszczem.

Bebe zdjęła ze sznurka suszącą się bieliznę, ubrała szarawary i dresową bluzę. Nie miała ochoty wiązać sobie wokół głowy hidżabu, więc ubrała bezpośrednio na głowę azbestowy hełm, pospiesznie zawiązała fartuch spawalniczy wokół pasa - dziś pierwsza podpisze listę obecności.

- Niech to szlag - zaklął kierownik zmiany oglądając poprzez brudne świetliki zmienną aurę.

W chwili potem strugi deszczu, który postanowił podać dzisiaj idealnie pionowo, w mgnieniu oka zdusił ogień w piecu.

W powietrzu wciąż unosiła się woń zgaszonego paleniska. Kierownik obniżył wzrok na kontrolki pieca i nagle zobaczył jak języczek termometru przesuwając się z czerwonej części cyferblatu na zieloną, by ostatecznie stanąć nieruchomo. W głowie słyszał coraz bardziej wyraźnie pełen pretensji głos przedstawiciela Urzędu Wezyna stawiającego mu oskarżenie o zaniedbanie planu i sabotaż produkcji. Echo niesło jego przekleństwa na całą halę produkcyjną, gdy biegł w kierunku magazynu.

Oczy kierownika patrzyły nieruchomo w jeden punkt na półce, gdzie jeszcze wczoraj leżał duży zapas rozpałki. Dziś nie było tam nic. Kierownik utknął w tym otępieniu na dłużej. Na minutę albo dwie. Jego oczy robiły się coraz większe i większe... a potem zaczął w panice przetrząsać pozostałe kontenery w składziku. Nie przestawał jednocześnie wygrażać magazynierowi Dżekowi. Znieruchomieli robotnicy, nie mając pojęcia o czekających ich konsekwencjach, cieszyli się z chwili odpoczynku. Magazynier Dżek ulotnił się nagle i nikt go już nie mógł znaleźć do końca dnia.

- Nie mamy podpałki. Szukajcie czegoś, żebym mógł rozpalić ogień - rozkazał kierownik. Denerwował się. Ilość wytwarzanych półproduktów wyraźnie spadała po ostatniej zimie. Dodatkowe opóźnienia nie były nikomu potrzebne.

Gdy Bebe stała tak sobie beczynn timer oparta o pustą formę do wytapiania, a ostatnie smugi dymu opadały na podłogę hali, poczuła gdzieś w głębi duszy coś więcej niż tylko buchający płomień. Poczuła napływ irracjonalnie wielkiej potęgi, siłę do czynienia rzeczy przekraczających tolerowaną w kombinacie rutynę.

- Można by nazbierać chrustu...

- Czego? - tępy szal kierownika ustąpił miejsca bezsilności.

- Suchych patyków - z miną eksperta Bebe ujęła się za boki.

- Pada deszcz. Nie ma nic suchego na zewnątrz - zaczął tracić nadzieję kierownik.

- Im dalej się idzie, tym pniaki są gęstsze i nie przepuszczają wody. Tam na stokach wzgórz nadal są suche miejsca. Widziałam jak byliśmy na robotach, wtedy co jesienią ciągnęliśmy kable! - upierała się przy swoim Bebe.

- Dobrze idź, tylko w razie czego nie mów nikomu, że to ja cię puściłem. Wracaj mi tu szybko.

Bebe gwałtownie poderwała się z miejsca. Deszcz znów przybrał na sile i uderzał ciężkimi kroplami w pobliską bramę, którą otwierał kierownik. Gdy tylko wydostała się z kombinatu była gotowa przysiąc, że usłyszała rozlegający się odgłos melodyjnych świstów dobiegający od strony wzgórz wraz z chłodnym podmuchem lodowatego i mokrego wiatru.

- Spiesz! Spiesz! Chodź! Chodź!

Bebe posłusznie poszła w kierunku nawoływań. Ich źródło znajdowało się nieopodal dawnego lazaretu. Gąszcz stawał się coraz trudniej dostępny. Pisk, początkowo słaby, narastał stopniowo. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i w tej samej chwili to, co piszczało, zerwało się w powietrze jak dzikie płomienie w fabrycznym piecu. Serce waliło jej jak oszalałe.

- Latające zwierzątka! - Bebe wydawało się, że śni i nie potrafiła sobie wyjaśnić jak to jest, że nie śpi a widzi takie cuda.

Kruki przez dłuższą chwilę przyglądały się Bebe w milczeniu ze szczytu wyschniętej sosny, niechybnie nie zamierzając odlecieć, dopóki nie dokończą wyżerać pożywnych resztek jedzenia. Najwyraźniej ostatnie lawiny błotne odkryły nienaruszone zapasy puszek i suszonych owoców pozostawionych w leśnej ziemi przez dawnych mieszkańców. Takie znalezisko! Bebe żałowała, że nie mogła zabrać tego wszystkiego za sobą - wydała by się cała akcja. Zaczęła grzebać patykiem w rumowisku w poszukiwaniu nienaruszonego przez latające stwory opakowania. Obok metalowych puszek o pojemności około dwóch galonów leżało sporo popękanych słoików. W ręce Bebe wpadła ostatecznie paczka suszonych owoców. Schowała opakowanie do kieszeni bluzy. Podniosła się, spojrzała ostatni raz na dziwne istoty i pobiegła do fabryki. Po drodzeomal się nie przewracając, zbierała względnie suche kawałki połamanych drzew.

Prycza Kici sąsiadowała z pryczą Bebe. Często rozsuwały dzielące je kotary i Kicia opowiadała o życiu, które miała już za sobą. Była bardzo stara,

mogła mieć nawet czterdzieści lat, więc nic dziwnego, że znała tyle opowieści o starych czasach. Wszystkie były identyczne. Zaczynały się od słów, których Bebe nie rozumiała, a kończyły się tym, że przyjaciele i krewni Kici umierali lub dogorywali. Na szczęście Kicia nie będzie żyła już długo i męczyła się z tymi przykrościami.

- Kiciu, nie mów o tym nikomu - Bebe zaciągnęła zasłonę zrobioną z brudnych od smaru szmat. - To będzie nasz sekret, dobra? Byłam dzisiaj na zewnątrz. Widziałam latające stwory. Ale to nie wszystko - Bebe wyjęła z kieszeni szeleszczącą paczkę. Kicia niemal nie wierzyła własnym oczom - suszony kompot owocowy.

- To jedzenie, prawda Kiciu? Takie jak dawniej.

- Tak, Bebe. To jest jadalne. Musisz to tylko dobrze przeżuć żeby się nie zadławić - Kicia nie czekając długo wzięła od Bebe paczkę i otworzyła ją jednym ruchem ręki. Wzięła do ust jeden z szarych, poskręcanych owoców z paczki. Jadła ostrożnie, przymykając oczy.

- Myślisz, że to jest hałał?- Bebe z podziwem patrzyła na odważną Kicię. Ta jej nie odpowiedziała. Na języku poczuła mały ostry obiekt.

- Masz - podała Bebe wyplutą właśnie pestkę jabłka. - Z tego wyrośnie ci jabłoń. Będiesz miała tyle hałał jabłek ile zechcesz - zaśmiała się. - Musisz je włożyć do ziemi - odpowiedziała Kicia korzystając ze swojego przedwojennego wykształcenia. - A dalej to nie wiem.

Umysł Bebe zaczął powoli odpływać, powracając pamięcią do wydarzeń z minionego dnia i usiłując odnaleźć klucz, który pozwoliłby mu wszystko zrozumieć i pojąć. Jak to możliwe, że z czegoś tak niepozornego może wyrosnąć ogromne drzewo? I jak po wrzuceniu do ziemi uchronić je przed zimnym deszczem, zjedzeniem przez, jak wyjaśniła to Kicia, ptaki – latające zwierzęta. „Musi być jakaś odpowiedź” - pomyślała. Jakieś wyjaśnienie, które pozwoli na rozgryzienie tej zagadki. Kiedyś ludzie potrafili wytwarzać drzewa. Nie może być to aż tak trudne. Efektem jej rozmyślań był sen, który zjawił się tuż nad ranem.

Sen, który zdarzył się jej tej nocy nie różnił się wiele od rzeczywistości. Znów oto wracała z pniaków, z tą różnicą, że w kieszeni, zamiast paczki suszu, miała małe drzewko. Tętniące życiem organizm, niczym ludzkie serce, tyle że ukraszony zielonymi listkami podobnymi do trującego bluszczu, ale bardziej obłymi o łagodniejszym odcieniu zieleni.

- Jasne! O rany! Dlaczego od razu o tym nie pomyślałam? Muszę mieć je cały czas przy sobie. - Bebe po raz kolejny ogarnęło ją odświeżające uczucie

zdolności do czynienia rzeczy niespotykanych. – Wystarczy, że wsypię ziemię do pudełka, tak jak w pudełku trzyma się śrubki, żeby się nie pogubiły.

Składnica kombinatu od lat znajdowała się pod opieką magazyniera Dżejka. Dziś w przerwie obiadowej Dżejki siedział samotnie przy stole warsztatowym wsłuchany w dźwięki maszyn. Dżejki odpowiedzialny był za dystrybucję wszelkich dóbr, które dostarczał Divan, toteż robotnicy odnosili się do niego z szacunkiem, pomimo iż był zupełnym kretynem. Lata wśród klejów i rozpuszczalników roztopiły jego mózg jak terpentyna zaschniętą płamę oleju.

- Dżejki, słuchaj - zaczęła przyjacielsko Bebe. - Wiem, że masz dużo spraw na głowie. Ta afera z rozpałką i w ogóle. - Mimo podeszłego wieku Dżejki wciąż jeszcze nie poznawał się na ludzkich sztuczkach i fortelach. Połechtany, niespotykany w tych czasach współczuciem i zainteresowaniem, potakiwał Bebe z cierpiennym wyrazem twarzy. - Ale może znalazłbyś chwilę i pomógł mi przy takiej jednej sprawie. - Bebe, oczywiście w pełnym zaufaniu, zwierzyła się Dżejkiowi ze swoich planów.

- Drzewko owocowe, powiadasz. Dwadzieścia lat temu ludzie mieli tutaj setki drzewek owocowych. Tu nad rzeką. Od lazaretu do naszej fabryki, a nawet dalej, o tam... - wskazał ręką w kierunku świetlików. - Każdy miał w ogrodzie, co chciał. Masz tu dolną część butelki. Nada się. Powodzenia Bebe.

Kolejne dni również były deszczowe. Bebe zbierała grudki ziemi naniezione przez strażników do fabryki. Czwartego dnia Bebe miała już dwie garści wilgotnej gleby, wystarczająco dużo by zakryć bezpiecznym przykryciem małe ziarenko.

Bebe stała niekiedy na palcach o oglądała rachityczne rośliny próbujące przebić się przez ziemię. Zauważyła, że pewne obszary charakteryzują się większym nasłonecznieniem i tam wzrastały właśnie skupiska roślin.

Wkrótce uprosiła kobietę zajmującą się porządkiem w hali, aby mogła na czas pracy zostawiać małego stwora na parapecie.

- Ech, Bebe. Gdybyś tylko wiedziała. Kiedyś każdy miał tyle owoców, ile zechciał. Na tych ziemiach nigdy łatwo nic nie rośło. Ale ludzie potrafili wyhodować i jabłonie i wiśnie. Co tylko sobie wymarzysz! Ale kiedy to było?

Pomysł spotkał się z aprobatą, aczkolwiek niepołączoną z wiarą w powodzenie. Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy spod doniczkowej ziemi zaczął wyłaniać się pierwszy kiełek. Kobieta pilnująca porządku specjalnie dla niego czyściła z niespotykaną dokładnością szyby w świetliku. Należało wywalczyć dla pędu każdy promień światła.

Dariusz Burzyński

Chronos

Audienca

Oczekując na ciebie, zlizuję krew z dłoni spękanych od mrozu. Pomieszały się pory roku: ostatnie dni - nieśmiało to mówię, bo czy czas można jeszcze mierzyć w tak banalne sposoby, gdy wszystko jest w kawałkach, potrzaśkane jak porcelana - te dni są tak chłodne, iż boję się wystawić choćby rękę poza krąg bijącego od ognia ciepła, ażeby kończyzna nie odmarzła mi przy tym nagłym zgoła paroksyzmie zimy.

Poza tym jasnym kręgiem wyje tylko pustka. W ten sposób zredukował się mój mały wszechświat, w ten sposób niebawem i ja się zredukuję.

Gwar

To pierwsze spotkanie - choć wiem aż nazbyt dobrze, że nie od niego się zaczęło, wszystko, rzekłbyś, zostało ukartowane. Koncepcje wyklute w dusznych podwejherowskich lasach na samotnych dumaniach tu, teraz, znajdowały jedynie ujście. Dawniej nie pomyślałbym, że dzień dzisiejszy wyrzuci może tak nieodwracalne piętno na to, co już było, i vice versa.

Niezrozumienie rzuciło mnie w jedno z tych miejsc, będących reliktem minionych czasów. Z ulgą rejestruję hałas, precyzyjnie wytłumiany przez przyścienne automaty, i po niedługiej chwili prawie spokojnie oddać się mogę zeszlowiecznym nawykom: pijaństwu i hazardowi. Mrugam - to tęczowopawie światło maszyny do gry wdziera mi się pod powieki, zachęcając do zaryzykowania moich oszczędności. Jak wiesz, tego dnia zaryzykowałem jednak co innego.

A oto i człowiek - nie z tej epoki, sam, choć pośród tłumu. Odgradza go aura obcości, otacza, najzupełniej dosłownie, pierścień niezajętej przestrzeni. Zagubiony, z tkliwością odnajduje na nowo dawno zapomniane miejsca.

Czy ja jego tu szukałem - czy raczej on mnie?

To pierwsze spojrzenie i pierwsze zetknięcie się spojrzeń. Czy widzi? Widział, nim jeszcze przyszedłem. Ale te oczy - zbyt kruche, zbyt nieludzkie, niestworzone do patrzenia. Jak wiesz, takie oczy potrafią zobaczyć więcej.

Fragment porcelany

Może minuty, może godziny (przechodzące w znaczone przemieniającymi się fazami księżycy dni), mi jednak zdawało się, że eony trwało moje przemyśliwanie twych słów. Ale dlaczegoś był taki sam? Jak sądzę, kto raz odznaczy się w materii czasu, trwalszy ślad na niej wywrze, niżby podejrzewał. Błądząc ścieżkami monstrualnie rozrośniętego Parku Majkowskiego (na mapie jak kleks zielonego inkaustu niedbale praśnięty na brudnoszare płótno aglomeracji) analizowałem zdanie po zdaniu, coś mi powiedział, nim bezpowrotnie zniknąłeś w burzy zakłóceń kontinuum.

Z nas trzech to ty miałeś najwięcej czasu, żeby się przyjrzeć. A może nadal patrzysz.

Opowiem pokrótce, co mogłeś zobaczyć. Więc najpierw miasto. Panuje w nim cisza, tak że w uszach aż dudnią grzmotem własne myśli. Już nie pamiętam, od jak dawna obowiązuje tyrania milczenia, mało kto zaś w pełni zdaje sobie sprawę, dlaczego ją wprowadzono. Ja słyszałem tylko o bliżej niesprecyzowanym „zagrożeniu”. Z początku było o tym - paradoksalnie - głośno w telewizji, aż telewizję też zlikwidowano, bodaj właśnie z powodu „zagrożenia”.

Może słusznie, nie mi oceniać. Po serii kataklizmów żywcem z przepowiedni Nostradamusa, po wywróceniu kresu cywilizacji nie odwołano wszakże ani wiszącego nad nami niebezpieczeństwa, ani iście totalitarnych obostrzeń.

Wyludnionym deptakiem z rzadka przebiegają postaci jak widma. Na twarzach nie poznasz uśmiechu. Co ich trapi? Przecież teraz, kiedy nauka wzniosła się na niedosiężne z pozoru wyżyny, żyjemy prawie wiecznie.

Za umownymi murami miasta - wyrosły na gruncie ciszy? - las jak dżungla.

Za murami dżungli...

U fal

Niełatwo było się zrazu wyrozumieć.

Rzecz nie w kwestii języka sensu *stricto* (dziś nikt już nie wychodzi z domu bez podręcznego translatora, acz jakiś zaginiony, a przezeń użytkowany wariant utrzymywanej obecnie jeszcze przy życiu kaszubszczyzny, nieraz doprowadzał moją aplikację do krótkotrwałych awarii), ani różnicy epok (dziś myślimy o wielu sprawach inaczej niż przed stuleciem, inna jest hierarchia wartości: piramida potrzeb Masłowa runęła i zrekonstruowano ją - wydawać by się mogło z jego perspektywy - kompletnie bez zamysłu), nawet

nie różnicy charakterów (dziś przecieśmy... jak jedno). Rzecz była w grze o istnienie. Tym targu, który miał niebawem o wszystkim przesądzić.

Byliśmy nad morzem - słone powietrze wypierało z naszych płuc to zatrute - u stóp wielkiego niegdyś miasta. Fala biła o brzeg raz za razem, delikatnie żłobiąc srebrzystobiały piasek, i nie obchodził jej czas i jego nakładające się, unieruchomione warstwy, i Pan Chronosu. Bezczesny błękit i bezczesny spokój: ach, jak żeśmy mu wtedy zazdrościli.

Może łatwiej mu się rozmawiało pośród szumu, bywał tu przecież, a w tym jednym bodaj miejscu wszystko jest jak niegdyś.

- Musisz pojąć - zaczyna mówić, z początku nic nie rozumiem, mam tu na myśli słowa, najpierw pomaga mi świszczący na przedramieniu automat, ale niebawem wychwytyuję sens podświadomie, przypominam sobie własne, głęboko zakopane niegdyś obawy, choć sam przed blisko wiekiem dołożyłem starań, żeby ten sens z mojej głowy wyrwać, wykorzenić. Czyżby? On sam jest przecież koronnym przykładem, że to się nie udało.

- Musisz pojąć, dlaczego tu jestem. Początkowo chciałem ci powiedzieć, że na skutek pomyłki, wszelako czy pomyłką można nazwać zaburzenia rzeczywistości, brzytwy kaleczące tak dotkliwie, że ludzkie poczynania czynią - w swym ogromie - czymś nader nieistotnym. Już u mnie zaczęło się coś psuć. Mało kto je dostrzegał, rozumiesz. Poprucia na tkaninie czasu: godziny przeżykające dziwnym tempem, chwile stające się wiecznością - i na odwrót, *deja vu* tak powszechne, że plan dzisiejszy i plan wspomnień - i plan marzeń - zdawały mi się nieledwie jednym i tym samym. Z nikim o tym nie rozmawiałem, przecież w nikim nie mam zrozumienia, nigdy go nie znalazłem, lecz gdyby teraz - toż to szaleństwo! Szukałem jednak pomocy dalej, bez rezultatu. Aż byłem bliski uznania, że to ja jestem.

- Przyczyną.

Z wolna wszystko układa mi się w całość. Aż wreszcie, wtedy, pogodziłem się z tą myślą.

- Nigdy nie pogodziłem się z tą myślą.

To nas różni.

- Inaczej nie byłoby mnie dwóch.

Intermezzo

Analogicznie jak w nowym świecie, zjawieniu się w owym czasie poety (nie pamiętam nawet jego nazwiska - umarło jeszcze przed swoim właścicielem) - *tak jak jego sprzed stulecia się u końca czasu wśród nas zjawieniu* - towarzyszyła krzątająca, która na Uniwersytecie nie miała dotąd preceden-

su. Wśród zaków artysta ów od lat uchodził nieomal za boga, który zstąpił między śmiertelnych - niech i nawet będzie, że za karę. Przygotowania do jego przyjęcia trwały tedy tygodniami. Nim nastąpiło uroczyste powitanie gościa w specjalnie na tę okazję udekorowanej auli (a genialnie była udekorowana!), trafić miał poeta w ręce wydelegowanych studentów, którzy zakwaterują go w komnatach. Od przeszło godziny grupa zaaferowanych młodzików obojga płci wyglądała przybysza. Zaraz, zaraz powinien być.

Świtało. A mi ekskluzywne, rękodzielne wydanie jego poezji drżało w dłoniach. Zimne powietrze łykałem płytkimi haustami, bo tak tylko mogłem oddychać. Znałem te utwory na pamięć, przed snem wymawiałem niektóre półgębkiem zupełnie niby modlitwy - *długo, długo jeszcze po jego zgonie, przed moim naświatprzybyciem, po odejściu was obu.*

Towarzysze moi byli nie mniej przejęci. Szepty więzły w gardłach... Sekundy.

Nadjeżdża. Wkrótce go zobaczymy. Jedna noga, druga noga, cała postać wysuwa się nieśmiało z mroku powozu. O, czcigodny! Taki sam, jak go malowano. Kropka w kropkę, kubrak lichy, gruby, czapa wehnia hardo na uszach umocowana, dla kontrastu buty na obcasie modnym, wysokim. Zbliża się, zbliża! Otwieram duszę, serce rozwieram szeroko na słowa poufale, a z cicha sączące się z między bladowskowych, starczych warg, do ucha się sączące:

- Kolego, mógłbyś mi, proszę, wskazać drogę do wychodka?

Że straciłem wtedy przytomność, opowiedziano mi dopiero wieczorem.

U fal. Chwila Samsona

A my nadal nad tym brzegiem.

Czy to rozmowa, czy spowiedź? Wargi składa w bezuśmiechu.

- Ty i ja. Może rzeczywiście na skutek pomyłki: inaczej skąd miałbym wiedzieć, jak postąpić. Gdzie szukać rozwiązania. Z elementów przyszłości odczytałem prawdę, na podstawie własnych obserwacji wysnułem hipotezy. To odpryski czasu, waszego czasu pozwoliły mi na tę podróż w jedną stronę. Wtedyśmy się, bracie, narodzili. Ty - do życia długiego i bez celu, a może z celem od dawna uśpionym, który dziś dopiero zamierzam mu nadać. Ja inaczej - jak noworodek ochrzczony w świętej rzece, przebijający czołem gładką tafłę wód Jordanu.

Dajmy mu mówić. Zachłystuje się niemal wielością słów, które, niewypowiedziane teraz, przepadłyby pewnie na zawsze.

- Ile było przeszkód... Sama konstrukcja maszyny to głupstwo w porównaniu z próbą odgadnięcia miejsca, gdzie splata się czas, na czterowymiaro-

wej szachownicy rzeczywistości. Już wiem, że moje obliczenia były poprawne. Gdybym jednak przybył za późno. Tu go znajdziemy. Rozumiesz: jak dobry architekt nadzorujący prace nad swoim projektem, musi się zjawić choćby na moment. Mignie w oku cyklonu.

Pan Chronosu.

- Uniwersum jednocześnie zacznie się i skończy - już niebawem. Historia zbliża się bowiem do kresu swojej linearności, do punktu, kiedy przeszłość i przyszłość już w zasadzie nie istnieją - nie obowiązują. Zamiast iść dalej, czas rozgałęzia się wszecz i do środka, tak iż wszystkie chwile, istniejące w jakiegokolwiek rzeczywistości bądź tylko potencjalne, koegzystują z wszelkimi innymi na równych niemal prawach, jednocześnie hamując progres. Tak tu trafiłem - odkrywszy, że to możliwe, skoro Chronos coraz to zwija się, jak kłębek, albo lepiej: jak spirala, ku własnemu centrum. Na skutek pomyłki i z rozmysłem zarazem. Pan Chronosu. Znajdziemy go i rzucimy mu wyzwanie.

Czy to słyszysz? Brzmi, jakby rozwiązanie było blisko.

- Razem. Zdwojoną mocą. Ale wiesz przecież, musisz wiedzieć, że jeśli się uda i odwiniemy pętlę, taka rozmowa nie będzie już możliwa.

- Jeden z nas.

- Nigdy obaj.

Czy to słyszysz.

Piętnaście minut

Na długie dni przepadliśmy w wirze przygotowań. Zdziwiał mnie przenikliwość jego umysłu. Gdybym wiedział, że i ja kiedyś miałem taki potencjał, może nie uczyniłbym swego życia tym pasmem niekończącego się utrapienia. Zastanawiam się: a czy to ma teraz znaczenie? Być może większe, niż się obecnie wydaje.

W istocie precyzyjnie wyliczył parametry, lecz niczego poza tym nie musiał mi tłumaczyć. Prędko zresztą spostrzegłem, że nasze myśli podążają już niemal tym samym torem, jak gdyby odgórnie były nań kierowane. Wnet nie potrafiłem odróżnić jego od siebie. Budziłem się wówczas nocami, złany potem, i wykrzykiwałem głucho: Ja! Ja! , by w rzeczonych chwilach trwogi dodać sobie animuszu.

Skończyło się tak nagle, jak zaczęło. Nowa maszyna, nasza wspólna konstrukcja, która pozwoli żeglować wśród nawałnicy czterech wymiarów. Tylko w ten sposób możemy dotrzeć. Obaj wiemy.

Taka cisza. Poznaliśmy, że trzeba ruszać, kiedy ustały zdarzenia. Wtedy jeszcze, gdy wyrwanie się z pętli było możliwe. Na moment przed zamrożeniem.

- Włączaj.
Furkot silnika czy wszechświata odrywającego się od stóp.
Nie do opowiedzenia.
Jest gdzie się.
Znaleźć.

Stłuczona porcelana

Liśmy.
Taki łoskot na materii wszechświata.
W samą porę. Chronos umarł, nie ma na to języka, rozsypał się, szukam siebie, w kawałkach, fragmentów przyszłego i przeszłego, i teraźniejszego. Nie znajduję.
Z trudem znajduję. Więc oto wreszcie, wyczekawszy, przed twoim obliczem. Kiedy widzę, żeś jest taki sam, jak ja, taki sam, jak ja - wszystko inne przestaje mieć znaczenie. Twojej/swojej głowy dotykam. Teraz - czy teraz? - mówisz ze szczerym współczuciem, że już nie zawrócimy kresu, ale są inne możliwości.
Bo w końcu jesteś tym trzecim, tym wiecznym. Nosicielem skradzionego czasu, łaskawco. Teraz wyraźnie to widzę: my w tobie.

Opowieść o czasie

Po tym wszystkim wróciłem/wróciłeś/wrócił do domu, do ciepła. Ile mnie/ciebie/jego nie było? Sięgnięcie pamięcią w przyszłość. Błogosławiona pustka. Niedojedzony obiad, w połowie pełny talerz parującej zupy - i kromka świeżego chleba w niej umoczonego - zachęca i wygląda, jakbym/jakbyś/jakby wyszedł ledwie przed chwilą.

Czyżby nic się nie zmieniło? Jest zupełnie jak kiedyś.

Grzegorz Dzięgielewski

Podwodny cmentarz statków

Idziemy ramię w ramię, ja i mój dziadek. Chociaż zwykle stawiam stopy dalej względem siebie oraz szybciej przebiegam nogami podczas chodu, dotrzymuję kroku staruszkowi.

- Jestem z Ciebie piekielnie dumny! Dzięki temu przejdiesz do historii - rzekł przodek, ukazując jednocześnie twarz pełną podziwu, tkliwości, błogości. I choć wydobyte z wnętrza seniora słowa zadźwięczały niczym wzniesiona ku chwale aria, uwierzcie, to pomarszczone, uradowane, wręcz wniebowzięte oblicze wyraziło nieporównanie więcej niż usta. - Zostawisz po sobie przyszłym pokoleniom niewątpliwy fenomen architektury. Gdy twoje życie dobiegnie kresu, będziesz mógł okryć ślepią powiekami ze stoickim spokojem, że jakaś częśćka ciebie przetrwa tu, na Pomorzu. Nielicznym jest dane wydać taki plon - kontynuował dziadek, krocząc przez moje dzieło i pochłaniając wzrokiem każdy jego szczegół. Chwilami sam z niedowierzaniem obserwowałem stworzony obiekt - rozciągnięty ku czeluści morskiej szklany korytarz, wzdłuż którego sukcesywnie malowały się zatraczone w lazurze wraki. Przeźroczysty tunel został zanurzony wewnątrz akwenu Morza Bałtyckiego tak, że posadzka przylegała do dna zbiornika wodnego bądź sporadycznie nieznacznie lewitowała ponad nim. Na całej długości konstrukcji po obu stronach spoczywały trupy rozmaitych jednostek pływających.

Zbudowałem pierwsze w historii ludzkości podwodne muzeum zatopionych statków gwarantujące odbycie spaceru po dnie morza. Uroczyste otwarcie obiektu miało nastąpić dopiero za dwa miesiące. Właśnie trwały prace wykończeniowe, które pozostawały pod moim nadzorem. Wszystko postępowało zgodnie z harmonogramem. Tylko jedna myśl nie dawała mi spokoju. Przynajmniej raz w ciągu dnia składała wizytę umysłowi, wypierając wizjonerską błyskotliwość. Jakby uznała się za arcyważną i zapragnęła bezwzględnie zaistnieć wewnątrz mojego rozumu. Podczas oprowadzania staruszka po podmorskim cmentarzysku zatopionych okrętów ponownie obezwładniła trzeźwość mego intelektu.

- Dziadku, jak wiesz, współczesna technika poszła daleko do przodu. Ultranowoczesne wynalazki potrafią niewyobrażalnie więcej od urządzeń sprzed setek i tysięcy lat. Kiedy skanowałem dno morskie, zapadły mi w pamięć napotkane szczątki siedemnastowiecznego drewnianego statku, wyraźnie oznakowanego krzyżem maltańskim na niebieskim tle. Przeanalizowałem fragmenty wraku wzdłuż oraz wszcz, przestudiowałem wszelkie dostępne źródła historyczne i nic. Doszedłem do wniosku, że wychwycone znalezisko nie odcisnęło w przeszłości żadnego większego, ani też mniejszego piętna, więc pozostawiłem je tam, gdzie zastałem - wyjawilem staruszkowi dręczące mnie zagadnienie, po czym przerwałem wypowiedź rozwlekłą pauzą z zamiarem wymuszenia na rozmówcy jakiegokolwiek komentarza.

Tymczasem odpowiedziała cisza. Ogarnąłem dziadka przenikliwym wzrokiem. Napotkałem zaledwie instynktownie uruchomione zmieszanie w oczach starca. Momentalnie ugodziło mnie zażenowanie. Ciężka niczym głaz ślina przeleciała przez przełyk, uderzając sam środek klatki piersiowej. Wybity z tropu ciągnąłem dalej: - Dziaduniu, mama niekiedy zdobiła kołnierz żakietu metalową zapinką przystrojoną takim wyróżnikiem. Swego czasu natrafiłem na wzmiankę o pradawnych rodach pochodzących ze szlachty. Ta warstwa społeczna odznaczała się swoistymi herbami. Być może maltański krzyż stanowi identyfikator mych przodków.

- Nic podobnego, chłopcze - uciął mój wywód staruszek, układając wargi w osobliwy półuśmiech. - Twoja świętej pamięci matka, lokalna patriotka, była wejherowianką! Maltański krzyż otoczony wieńcem z liści wawrzynu na błękitnym tle uchodzi za herb Wejherowa. Został nadany miastu przez samego Jakuba Wejhera - oznajmił krewny, sprowadzając mnie na ziemię.

- Toż ta miejscina nie dysponuje dostępem do morza! Jakim sposobem w pierwszym okresie istnienia władada jednostką pływającą? - zdębiałem. Dziadek jedynie wzruszył ramionami.

- Niemniej jednak siedemnastowieczny wrak mógłby zaistnieć jako absolutnie obłędny okaz. Mniemam, że warto rozpatrzeć sprowadzenie takiego unikat - zasugerował starszy nie tylko wiekiem, ale i rozumem, obeznaniem.

- Podzielał twoje zdanie, dziadziu - przytaknąłem. - Jednak to cudeńko oprócz swojej nadzwyczajności powinno odznaczać się jakimikolwiek zasługami, by zyskać przychyłność publiczności.

Następnego dnia dosiadłem mojego pierwszorzędnej klasy wehikułu. Do znikomego urządzenia sterującego jako cel podróży wprowadziłem centrum Wejherowa, po czym na ukazanym na wyświetlaczu dotykowym pla-

nie miasta wskazałem precyzyjniej miejsce docelowe. Rozsiadłem się komfortowo pomiędzy dwiema poduszkami otaczającymi sprężyste siedzisko. Zapiąłem pasy bezpieczeństwa. Nacisnąłem zielony przycisk oznaczony napisem „start”. Automobil ruszył samodzielnie. Przymrużyłem oczy i zatraciłem umysł w trywialnych wyobrażeniach. Ubóstwiam te świeżo wynalezione, doszczętnie zmechanizowane pojazdy. Wprawdzie niemal całkowicie wyparły zawód szofera z rynku pracy, jednak dzięki genialnemu wyposażeniu w sieć najrozmaitszych niezawodnych czujników oraz innych urządzeń znacząco zmniejszyły ilość zarówno poważnych wypadków drogowych, jak również wszelkiego rodzaju drobnych stłuczek. Mimo zamontowania aparatury zapewniającej bezpieczny przejazd bez konieczności ingerencji ludzkiej, zajmując miejsce za kierownicą, należało posiadać status kierowcy. Bez względu trzeba było dysponować ważnym dokumentem prawa jazdy z uwagi na ryzyko ewentualnego uszkodzenia inteligentnego oprzyrządowania. Wszak nic nie trwa wiecznie. Ponadto, gdyby doszło do nieprzewidzianej zmiany założenia odnośnie punktu docelowego przejażdżki, można było bez skrępowania wziąć ster w swoje dłonie. Dodatkowo niekiedy zachodziła konieczność własnoręcznego pokierowania pojazdem, ponieważ system zahamował nieopodal, a nie bezpośrednio we wskazanym miejscu postoju.

Kiedy już dotarłem do Wejherowa, w pierwszej kolejności odwiedziłem gmach biblioteki. Przesiedziałem tam blisko dwie godziny, wertując wszelkie osiągalne wzmianki odnośnie pradawnych dziejów miasta. Spośród pokazanej dawki informacji nie zdołałem wyłowić ani jednej wskazówki, która mogłaby mnie naprowadzić na choćby najmniejszy ślad ściśle powiązany ze znaleziskiem. Zrezygnowany zagadnąłem do uroczej podstarzałej bibliotekarki, czy dysponuje wiedzą o innych skupiskach przekazów dotyczących historii Wejherowa. Kobieta powściągliwie ogarnęła wzrokiem moje oblicze, poczynając od stóp, a kończąc na czubku głowy, jak gdyby dysponowała wbudowanym w źrenice czytnikiem sygnalizującym, jaki stopień zaufania osiągam.

-Tutejszy Klasztor Franciszkanów rozporządza najobszerniejszym zbiorem książek poruszających wszelakie wydarzenia, które miały miejsce na wejherowskich ziemiach od momentu powstania miasta - odparła kobiecina, penetrując głębie mego odrobinę spłoszonego spojrzenia. Dyskretnym gestem dłoni nakłoniła, bym zbliżył twarz ku jej wygodnie usadowionego na fotelu oblicza. Z lekkim zawahaniem posłusznie nachyliłem się nad rozmówczynią, opierając prawy łokieć o powierzchnię usytuowanego między nami biurka. - Musi pan przytoczyć ojcu przełożonemu poważny motyw, aby do-

puścił pana do pomieszczenia przepełnionego ogromem bezcennych, zabytkowych ksiąg. Kolejne pokolenia dyrektorów biblioteki od lat zabiegały o możliwość umieszczenia w bazie unikatowych lektur zeskanowanych obrazów kolejnych stronnic choć kilku pozycji uchowanych przez braci. Ponoć żaden kustosz Sanktuarium nie wyraził zgody - uchyliła przede mną rąbka tajemnicy, po czym taktownie opuściła wzrok na ułożony przed nią ekran i pogrążyła się w wirze pracy, jakbym z miejsca przestał istnieć.

Przekraczając próg zabytkowego klasztoru, poczułem charakterystyczną woń stęchlizny. W moich czasach taki zapach był na wagę złota. Większość wewnątrz archaicznych budowli dysponowało dyskretnie zamontowanymi filtrami powietrza, które skutecznie eliminowały wszelki, nawet ledwo wyczuwalny odór, niejednokrotnie wzbogacając otoczenie rozmaitymi standardowymi aromatami. Rozkoszując się rarytasowym fetorem, błyskawicznie dobrnąłem do urzekających dębowych drzwi. Za tym rzeźbionym ręcznie arcydziełem sędziwy gwardian oczekiwał mojej osoby. Złapałem głęboki oddech, by poskromić narastające podenerwowanie. Uchyliłem kunsztownie wykonane wrota.

- Witaj w naszych skromnych progach, synu. Rozgość się wygodnie i naświetl sprawę, z jaką przybyłeś. - Zostałem mile zaskoczony serdecznym, pełnym ciepła przyjęciem przez rozpromienionego franciszkanina. Jego niby wyblakłe ze starości, a jednak wciąż przesiąknięte szczerą, dziecięcą radością spojrzenie efektywnie przytłumiło treść oraz wzbudziło ufność. Pokrótkę zreferowałem, kim jestem i czym się zajmuję, przedkładając stosowne dokumenty, dzięki czemu zyskałem wiarygodność. Wyjawiłem, jakie odkrycie stanowiło przedmiot moich badań, naiwnie oczekując jakiegokolwiek wskazówki. Jednak nie wydobyłem ze starczej pamięci żadnej odpowiedzi, więc sfinalizowałem wypowiedź prośbą o dopuszczenie do zakonnego księgozbioru. Przyjazny wyraz twarzy proboszcza trwał niezmiennie. Na dłuższą metę sprawiał wrażenie sztucznej maski, pod którą wyćwiczony mnich bez trudu mógł zakamuflować wszelkie poruszenie, każdy zamysł, zaniepokojenie.

- Proszę za mną - polecił, wstając z krzesła. Nim się obejrzałem, przemierzaliśmy wąskie korytarze podziemi klasztoru. - Chronimy księgi przed zniszczeniem wskutek upływu czasu. Nie powstrzymamy tykania zegarków. Jednak potrafimy fachowo konserwować dokumenty piśmiennicze. Odcinamy dopływ światła słonecznego, a zarazem minimalizujemy ilość sztucznego oświetlenia. Nieomalże dosłownie kalkulujemy dopuszczalną liczbę dotknięć każdej ze stronnicy - pouczał franciszkanin, przetrząsając wydobyty z wnętrza kieszeni pęk kluczy w poszukiwaniu odpowiedniego oraz nie-

przerwanie utrzymując sympatyczny wyraz twarzy. Niespodziewanie wyrosły przede mną masywne drzwi. Wnet usłyszałem zgrzyt zamka, jakby przesunięcie czegoś okazałego po podłodze, pstryknięcie włącznika. Pomieszczenie wypełniła przymglona jasność. Moim oczom ukazała się kolekcja wykwiennie oprawionych tomisk. Wyciągnąłem pełną poszanowania dłoń w kierunku upodobanego egzemplarza.

- Do tego stopnia redukujemy dotykanie zgromadzonych zapisów, że ich treść jest przekazywana braciom ustnie z pokolenia na pokolenie - zwrócił uwagę zakonnik, skutecznie powstrzymując mnie od przechwycenia siedemnastowiecznej księgi. - Nie mogę powiedzieć czegokolwiek o odkrytym przez pana statku - oznajmił. Rozczarowany spuściłem posmutniałe oczy. Moją uwagę przykuły półokrągłe szramy rysujące się na podłodze wzdłuż solidnego regału. Być może nakreślały dystans, jaki należy zachować, by uchronić wyeksponowane grzbiety przed niekorzystnym wpływem wydychanego powietrza.

Wstąpiłem do pobliskiej restauracji. Spocząłem przy pierwszym lepszym stoliku. Apatycznym spojrzeniem przeanalizowałem spis posiłków. Zamówiłem, co ślina na język przyniosła. Pustym wzrokiem ogarnąłem wnętrze lokalu, po czym przyuważyłem napotkaną już uprzednio postać. Wychudły, siwiejący mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby podpatrywał mnie chwilami. Skądś znałem tą twarz. Ofensywnie odskoczyłem z krzesła. Odbiłem się dłońmi od stołu. Zdecydowanym krokiem ruszyłem w kierunku cichego obserwatora. Ciekawski gap zaczął chłonać oczami każde moje skinienie. Co ciekawsze, nawet nie wzdrygnął, a wręcz zachęcał, by podejść bliżej. Dosiadłem się do tajemniczego osobnika.

- Przepraszam, że niepokoję, ale chyba kogoś mi pan przypomina - wybełkotałem rozstrojonym głosem, próbując jednocześnie ogarnąć delikwenta wzrokiem i uporządkować myśli. Nieoczekiwanie wydobyłem z pamięci pewne fakty. Jegomość był czytelnikiem krążącym między regałami w bibliotece. (Najprawdopodobniej dlatego ta urocza bibliotekarka poleciła mi pochylić się ku sobie.) Był też przechodniem pochłoniętym poranną prasą na ławce przed klasztorem. (Zastanawiało mnie jedynie, jakim sposobem zdążył dotrzeć do kościoła przede mną. Przypuszczalnie popędził skróconą trasą.) Był również wierzącym pogrążonym w modlitwie, a obecnie był klientem restauracji, do której dziwnym trafem i ja wstąpiłem na posiłek. Jednak przede wszystkim przez cały dzień był ciagle tuż obok mojej osoby.

- Czy pan mnie śledzi? - stanowczym tonem postawiłem pytanie.

- Z kolei pan, zdaje się, pragnie zasięgnąć trudnej do zdobycia, całkiem specjalistycznej informacji? - odrzekł nieznajomy ciętą ripostą.

- Słucham? - spytałem, nie wierząc własnym uszom.

- Proszę mi wybaczyć. Antoni Wypatrydziej. Jestem historykiem. - Mężczyzna wyciągnął ku mojej osobie otwartą dłoń. Uściśnąłem smukłe śródrezcze. - Właśnie spędzałem kolejny szary dzień wewnątrz czytelnicy w poszukiwaniu historii oczywistych, gdy nagle przez przypadek zaintrygował mnie pan swoimi poszukiwaniami. Marzę, by zostać wtajemniczony. Jako historyk mógłbym się na coś przydać - zaoferował pomoc. Po niedługim namyśle przytaknąłem.

Byłem niezmiernie ciekaw, czego obserwator mojej osoby zdołał się dowiedzieć, węsząc na własną rękę. Jednak zamiast ciągnąć nowopoznanego za język, żądny wiedzy postanowiłem przejść do sedna sprawy. Relacja z odkrycia siedemnastowiecznego wraku oznakowanego najprawdopodobniej herbem Wejherowa wzbudziła wyraźne zainteresowanie słuchacza. Żywiłem nadzieję, że znawca pradawnych dziejów wytypuje jakąś ewentualność zaistnienia takiego typu jednostki pływającej.

- W siedemnastym wieku założono miasto. Zaraz za tym wzniesiono klasztor i Kalwarię Wejherowską. Przekaz dotyczący powstania tego ostatniego obiektu wspomina o statkach - stwierdził pochłonięty znaleziskiem historyk, jednocześnie wydobywając mnie z otchłani bezradności. - Powszechnie dostępne publikacje głoszą, że pod każdą kapliczką umieszczono garstkę piasku pochodzącego z samej Jerozolimy. Tymczasem nie natrafiono na żadną wzmiankę o tym, jak zdobyto ową część gruntu. Nieoficjalne źródła szerszą, iż Jakub Wejher wysłał zakonniką do izraelskiego miasta, by ten skrupulatnie zmierzył odstępy pomiędzy kolejnymi stacjami odtwarzającymi etapy męczeńskiej śmierci Jezusa oraz sprowadził jerozolimską ziemię. Planowano ją rozsypać po całym terenie przyszłej kalwarii. Z misją wypłynęły aż trzy statki, ale powrócił tylko jeden. Swego czasu usiłowałem znaleźć jakiegokolwiek zapiski potwierdzające zasłyszana historię, lecz każda podjęta próba kończyła się fiaskiem. Niewykluczone, że wykryty w głębinie morskiej wrak jest szczątkami okrętu, który nie dopłynął do Wejherowa, a zarazem potwierdzeniem opowiedzianej legendy. -

- Ale jak to udowodnić? - spytałem.

- Franciszkanie spisywali losy miasteczka od momentu ich sprowadzenia, czyli właściwie od samego początku. Głęboko wierzę, że poszukiwana przez ciebie odpowiedź jest przechowywana w klasztorze - odparł z przekonaniem specjalista od pradziejów.

- Wszak już tam szukałem - podkreśliłem, po czym zreferowałem przebieg złożonej chwili temu wizyty u proboszcza.

- Mnie również wielokrotnie zwodzono, demonstrując półki obłożone księgami i zabraniając tknąć choć egzemplarza. Ostatecznie stałem się personą niepożądaną na obszarze kościoła - wyjawiał historyk. Wziął głęboki wdech. Obrzucił rozbieranym wzrokiem wnętrze restauracji, jakby odczuł nagłą potrzebę pośpiesznego ogarnięcia całego pomieszczenia, a przede wszystkim zgromadzonych w nim twarzy. Przeszył mnie głębokim, lekko podenerwowanym spojrzeniem. - Całkiem niedawno, nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności szeregi zakonu zasilił mój życzliwy przyjaciel. Zwróciłem się już do niego o pomoc w kwestii udostępnienia kilku źródeł - kontynuował przyciszonym głosem. - Nie ma możliwości, abym to ja przekroczył próg klasztornej biblioteki, ale pan może tego dokonać. Dodatkowo zapewne jesteś nietutejszy, prawda?

- Istotnie, zamieszkuję Marinopolis - przyznałem bez najmniejszego wahania, wykazując zainteresowanie przedstawioną wstępnie propozycją.

- Ach, dawne Trójmiasto - westchnął pogodnie rozmówca.

- Trójmiasto? - powtórzyłem zdumiony.

- Dokładnie tak. Niegdyś mianem Trójmiasta określano obszar obejmujący trzy miejscowości: Gdynię, Sopot, Gdańsk. Gdy wspomniane miasta zbudowały wspólnymi siłami największy na Pomorzu port, wówczas zdecydowano o ich połączeniu w jedną aglomerację nazwaną Marinopolis. - Zaskoczył mnie intrygującą wzmianką. Zaraz po tej interesującej dygresji omówiliśmy szczegóły zamysłu przechwycenia treści upragnionych wątków historycznych. Ustaliliśmy, iż zaprzyjaźniony zakonnik wprowadzi moją osobę do klasztornego księgozbioru za kilka dni pod nieobecność proboszcza.

Tymczasem w oczekiwaniu na chwilę ujawnienia prawdy historycznej monitorowałem przebieg ostatnich etapów wznoszenia podwodnego tunełu. Brygada budowniczych wyprzedziła założony grafik o blisko dwa dni. Uszczęśliwił mnie tak zadawałający stan robót, ponieważ ciągle rozpatrywałem ewentualność sprowadzenia zajmującego znaleziska. Często krążyłem po szklanym korytarzu, wypatrując należytego miejsca dla potencjalnego eksponatu. Godzinami ślęczałem nad projekcjami obrazów zeskanowanego dna morskiego odwzorowującymi miejsce położenia siedemnastowiecznego wraku. Wielokrotnie poddawałem analizie poszczególne rzuty. Mógłbym przysiąc, że w okolicach dziobu dostrzegłem fragmenty napisów potwierdzających powiązanie z Wejherowem oraz wyprawą do Jerozolimy.

Zapewne zlekceważyłbym to kluczowe znamię, gdybym nie poznał opowieści historyka. Moją uwagę przyciągnęły również znaczne uszkodzenia burty. Ilekroć badałem wzrokiem owe zniszczenia, za każdym razem reprezentowałem pogląd, iż statek został najprawdopodobniej zatopiony.

Wróciłem do Wejherowa przepełniony entuzjazmem, a zarazem niepokojem, że to, czego poszukiwałem, skutecznie się przede mną ukryło. Aczkolwiek w głębi duszy przeczuwałem sukces. Znalezisko musiało odgrywać jakąś znaczącą rolę, skoro myśl o nim każdego dnia zaprzętała mój zajęty wznośzeniem ponadprzeciętnej konstrukcji rozum. Namierzyłem klasztor prędzej niż za pierwszym razem. Gdy tylko przekroczyłem wrota kościoła, momentalnie powitał mnie mocnym uściskiem dłoni roześmiany zakonnik.

- Oczekiwałem pana - powiedział przejętym głosem franciszkanin. Chyłkiem rzuciłem okiem na zegarek. Przybyłem punktualnie. - Czas tu wybitnie nieśpiesznie płynie - wyjaśnił. „To wszystko tłumaczy”, pomyślałem. Podążyłem za mnichem, przemierzając ponownie wąskie korytarze klasztornych podziemi. Tym razem zdążyłem przyjrzeć się dokładniej zaciemnionemu przejściu i solidnym drzwiom. Brat przystąpił do otwierania wrót.

- Rozporządza ojciec tylko jednym kluczem? - spytałem, przypominawszy sobie okazały pęk, jakim dysponował proboszcz.

- Owszem, aktualnie sprawuję pieczę nad biblioteką. Każdy z nas otacza opieką określone pomieszczenie, co zapewnia ład - odparł członek zakonu, chcąc ugasić moje zdumienie. Trzask mechanizmu ryglującego uniósł się echem po długiej sieni. W następnej kolejności pochwyciłem uchem odgłos pstryknięcia. Nastąpiło lekko przyćmiona jasność.

Wmaszerowaliśmy do przepełnionej księgami składnicy. Gdy tylko przystąpiłem próg, momentalnie stanąłem jak wryty. Oniemiałem ze zdziwienia z chwilą ujrzenia półokrągłego wydawnego regału - elementu, którego mimo masywnych rozmiarów nie dostrzegłem wcześniej. Świeżo ujawniony detal zlokalizowałem w miejscu zaobserwowanych poprzednio łukowatych szram. Momentalnie pojąłem, iż tym razem podczas procesu rozchyłania drzwi zabrakło odgłosu przeciągnięcia czegoś ciężkiego po podłodze. Zainteresowany obróciłem wzrok w kierunku wrót. Tuż pod włącznikiem światła przyuważyłem niewielkich rozmiarów dźwignię. Zapewne ten uchwyt uruchamiał jakiś mechanizm odpowiedzialny za ukrycie półki. Siłę się, by nie dać po sobie poznać dokonanego odkrycia, a jednocześnie pojąłem, gdzie szukać odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Stanąłem naprzeciw tajemniczego regału. Bez trudu wytropiłem ręcznie spisany przekaz potwierdzający istnienie trzech okrętów wysłanych przez Jakuba Wejhera do Jerozolimy. Każda stronnica manuskryptu była pokryta

bezbarną folią. Rękopis wspominał o cystersie oliwskim - ojcu Robercie z Werden, który przewodniczył wyprawie. To on odmierzył krokami odległość pomiędzy poszczególnymi stacjami odzwierciedlającymi etapy śmierci Chrystusa. Rozrysował plan rozmieszczenia kapliczek, a następnie przeniósł całość na precyzyjnie dobrany wycinek ziemi wejherowskiej. Miał przywieźć tony piasku, by usypać nim całą powierzchnię drogi krzyżowej, tym samym z większą dokładnością oddać ducha wielbionego izraelskiego miasta. Stąd do Jerozolimy wysłano trzy statki. Kapitanem jednego był sam ojciec Robert. Pozostałymi dowodzili wybrani i zaufani specjaliści, na których, jak się okazało, nie można było polegać. Poza ziarnami gruntu przywłaszczyli sobie bezprawnie kilka wartościowych przedmiotów. Dlatego w trakcie podróży powrotnej ich okręty zostały napadnięte oraz zatopione przez rabusiów. Do kraju pomyślnie wróciła jedynie jednostka powierzona zakonnikowi, a Jakub Wejher rozczarowany nikczemnym występkiem pochłoniętej przez morze załogi nakazał zataić spisany przebieg misji. Odtąd franciszkanie otaczali tajemnicą wybrany zbiór ksiąg.

Po tylu latach sekret strzeżony przez zakon wreszcie ujrzał światło dzienne. Za sprawą nadzwyczaj precyzyjnego urządzenia elektronicznego o mikroskopijnych rozmiarach niepostrzeżenie zarejestrowałem całą ujawnioną prawdę historyczną. Na kilka dni przed wielką ceremonią inauguracji podwodnego muzeum sprowadziłem szczątki siedemnastowiecznego statku oraz usytuowałem je pomiędzy odpowiednio dobranymi okrętami, czyniąc ze znaleziska najznakomitszy eksponat. Wyróżniał się wśród pozostałych okazów, zaś zaprezentowana dokumentacja odnośnie wraku wywierała imponujące wrażenie.

Podczas uroczystości otwarcia podmorskiego tunelu niezmiennie trwało we mnie głębokie poczucie satysfakcji. Kilkakrotnie zostałem nagrodzony oklaskami. Rozdałem nawet parę autografów. Samotnie spacerowałem wzdłuż stworzonego dzieła wśród tłumu nieznanymi gapiów. Tym razem dziadek nie dotrzymywał mi kroku, ani ja mu. Staruszek zmarł, zanim zdążyłem zaszczyścić muzeum obecnością siedemnastowiecznego wraku. Krewny miał rację. Z chwilą uruchomienia zanurzonej wewnątrz akwenu Morza Bałtyckiego konstrukcji przeszedłem do historii, ale nie tylko jako wielki budowniczy, również jako odkrywca. Dzięki temu pamięć o mnie przetrwa na wieki. Aby uchronić także dziadka przed zapomnieniem, nazwałem tunel jego imieniem. W końcu to on sprawił, iż zapragnąłem zagłębić tajemnice statku oznakowanego maltańskim krzyżem.

Maszerując wzdłuż szklanego korytarza, pośród anonimowych twarzy niespodziewanie spostrzegłem roześmiane oblicze Antoniego. Historyk

zmierzał ku mojej osobie. Silnym uściskiem dłoni pogratulował mi sukcesu, po czym podreptaliśmy razem w głąb tunelu.

- Wiedziałem o tej dźwigni - wyznał pełen przejęcia historiograf. - Mój przyjaciel, ten zakonnik, on był doszczętnie nieświadomy - wybełkotał, jękając się. Momentalnie pobladł. Jego spojrzenie przeniknęło niepokój. - Wydalili go, i to nie tylko z parafii - wydusił strapionym głosem. Ogarnęło mnie uczucie pustki, jakbym został pozbawiony intelektu oraz utracił możliwość mówienia. W tej samej chwili ni stąd, ni zowąd padł strzał. Usłyszałem, jak coś przedziera się przez wnętrze mojej klatki piersiowej. Poczułem przeszywający ból. Obrzuciłem przerażoną twarz Antoniego pytającym wzrokiem. Pod palcami ułożonej na brzuchu dłoni wyczułem strużkę ciepłej cieczy. Opuściłem głowę, chcąc obejrzeć mokrą rękę. Zapadła ciemność. Straciłem panowanie w nogach. Padłem.

„Czas jest tempem, w którym znika przeszłość.” Znika cierpienie, znika rozkosz, przemija wszystko, również człowiek. Tak właśnie powstaje historia, która albo przetrwa wśród dalszych pokoleń, albo zostanie zapomniana na zawsze. Tego dnia, kiedy metalowy pocisk przeniknął moje ciało, przeżyłem. Okazało się, iż kula była przeznaczona dla Antoniego. Obezwładniony wściekłością bliski mu zakonnik postanowił odwzajemnić krzywdę, jaka go spotkała. Jednak w ostatniej chwili zemsta odeszła, trącając dłoń z bronią tak, że niezdarnie wycelowwała we mnie. Franciszkanin przebaczył. Ja także wybaczyłem.

Magdalena Topp

Najdłuższa podróż

Słyszał morze, jednostajny szum fal wślizgujących się na piaszczysty brzeg. Intensywne światło wdzierające się do jego oczu, mimo zamkniętych powiek, zdawało się potwierdzać przypuszczenie, że budzi się właśnie ze snu, w który zapadł na karwieńskiej plaży. Przesunął w bok prawą rękę, chcąc dotknąć któregoś z rodziców, którzy tego dnia wraz z nim korzystali z ostatnich promieni letniego słońca. Nie udało się, dłonie natrafiły na pustkę. „Chyba poszli na spacer” - pomyślał. - „A może się kąpią. Na pewno obudzą mnie, gdy tylko wrócą.” Tego ostatniego był pewien, bo rodzice nie lubili, gdy spał podczas plażowania. Zawsze obawiali się, że albo dostanie udaru słonecznego, albo promienie UV poparzą mu skórę. Uśmiechnął się do myśli o swoich nadopiekuńczych rodzicach. I znów zapadł w sen. Czuł się bezpiecznie.

* * *

Gdy budził się kolejny raz, do szumu morza dołączyły inne dźwięki, które w żaden sposób nie kojarzyły mu się z plażą. Coś jakby pischcało. I nie były to mewy, których pokrzykiwania dobrze znał i lubił. Dźwięk był zbyt jednostajny i sterylny. Kiedy jego umysł zaczął analizować hałas, sen niemal natychmiast odpłynął. Wciąż jednak nie otwierał oczu. Zrobił to gwałtownie dopiero wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że do zmrużonych oczu wpada nie złote słoneczne światło, lecz czerwony pulsujący blask. Uniósł powieki i nie ujrzał tego, czego się spodziewał. Miało być błękitne niebo pokryte pierzastymi obłokami, a tymczasem widział jakieś niewyraźne, metalicznie pobłyskujące, szybko poruszające się kształty, oraz rozmyte, pulsujące światła. Towarzyszyły im świdrujące piski elektronicznej aparatury nieznanego przeznaczenia. Gwałtowny zderzenie oczekiwań z rzeczywistością zaskoczyły mózg do tego stopnia, że ten postanowił wyłączyć świadomość, by uniemożliwić ciału podejmowanie jakichkolwiek pochopnych działań. Wiedziałem, że to nie mewy - taka była ostatnia myśl przed utratą przytomności.

* * *

Przy kolejnej pobudce nie czuł się już bezpiecznie. Właściwie to był przerażony. I to jeszcze zanim otworzył oczy, których wcale nie miał ochoty otwierać. Tak, chciał się obudzić, ale na plaży, a na wyciągnięcie ręki mieć rodziców. Spróbował raz jeszcze - jego prawa dłoń zamiast rozgrzanego pia-

sku, szorstkiego koca, włochatych pleców ojca, lub tłustego od olejku ramienia mamy, wyczuła zimny plastik. Lewa dłoń przesunięta w bok także zetknęła się z plastikiem. Wszelkie złudzenia rozwiały się, gdy zobaczył nad sobą, całkiem już wyraźnie, chromowane ramię automatu lekarskiego. Absolutnie czytelne stały się także dźwięki - to nie morze, to szum pompy tlenowej. To nie mewy, lecz sygnały alarmowe przeplatane popiskiwaniem systemu diagnostyki medycznej. Musiało jednak upłynąć jeszcze sporo czasu, nim mógł się podnieść do pozycji siedzącej - mięśnie wciąż odmawiały posłuszeństwa. W obliczu tego co zobaczył, zapragnął szybko zasnąć, lecz nie udawało się. Mózg nie pozwalał, pracował na najwyższych obrotach próbując przedstawić najbardziej racjonalne wyjaśnienie stanu w jakim znalazło się ciało.

Pamięć wracała, a pomagały w tym detale miejsca, które zaczął poznawać. Już wiedział, że jest na pokładzie transportowca pasażerskiego. „Gryf” - taką nazwę wygrawerowano na wielu sprzętach i drzwiach, które mijał chodząc po długich korytarzach. Większość z drzwi skrywała pomieszczenia z setkami kapsuł, w których unosiły się bezwładne ludzkie ciała. Takich samych kapsuł jak ta, z której sam wydostał się przed kilkunastoma godzinami.

Mijane kapsuły różniły się od tej jego bezruchem aparatury medycznej i ciągłym brzęczykiem sygnalizującym ustanie funkcji życiowych. Tułał się po kolejnych poziomach statku i otwierał dziesiątki kolejnych drzwi licząc, że spotka kogośkolwiek. Że którejkolwiek z kapsuł będzie towarzyszyć miarowe pikanie, oznaczające życie. Wciąż jednak zastawał bezruch. Przestał już liczyć kapsuły i mijane drzwi. W końcu stanął i oparł się o ścianę. Zwiesił głowę, a za chwilę osunął się na podłogę. Płakał tak długo, że zabrakło mu łez. Wstrząsany łkaniem zasnął na korytarzu.

Obudził go własny krzyk - tato! Drżąc usiadł i z nadzieją rozglądał się dookoła. Pustka. Okruchy pamięci powoli wracały na swoje miejsce. Pamiętał już, że kiedy rozpoczęła się ewakuacja rodzice zostali w Wejherowie. Ustalenia władz były jasne - w pierwszej kolejności na statki wpuszczano dzieci, potem najwybitniejszych naukowców z wybranych dziedzin, lekarzy i techników uznanych za najpotrzebniejszych. Jego rodzice - historyk i księgowa, wraz z podobnymi im, mieli czekać na następne statki, na następne kursy. Nikt nie miał złudzeń - nie będzie następnych statków, bo wykorzystano wszystkie. Kolejne kursy były zaś mrzonką, bowiem podróż w jedną stronę do HD 40307 trwała prawie pięćdziesiąt lat. Tam, na jedynej, jak dotąd, sko-

lonizowanej pod koniec XXI wieku planecie, czekała na nich nowa ojczyzna - Cassubia Nova. O jej początkach uczył się w szkole. W każdym atlasie gwiazdnym była oznaczona czarno-żółtą chorągiewką. Był dumny z tego, że jej założycielami byli jego rodacy - Kaszubi. I zawsze chciał tam polecieć. Ale z rodzicami.

* * *

Pamiętał jak żegnał się z rodzicami, gdy odprowadzali go do portu. Mama kurczowo ścisnęła jego dłoń, a ojciec wciąż muskał palcami jego włosy. Ten dotyk towarzyszył mu od zawsze. Kiedy był małym chłopcem, mama czytała mu przed snem, dotykając jego dłoni. Tata, gdy czytał mu wieczorne książki, jedną z dłoni wplatał w jego poskręcane loki. Uśmiechał się przy tym i powtarzał co jakiś czas - i co, teraz już będziesz spał, Groszku? Nim zasnął odmawiał pacierz, do którego, za zgodą taty, dołożył jako część artystyczną dla Pana Boga, „Pieśń Jukonu” - wyuczony na pamięć wierszyk z komiksu o przygodach Calvina i Hobbesa. Zaśmiewali się z „Pieśni” razem od lat - on, tata, i Pan Bóg na pewno też.

Pamiętał, że rodzice zawsze szli z nim do szkoły na uroczystości rozpoczęcia i zakończenia roku. Nawet gdy chodził już do gimnazjum. Sporą część trasy pokonywali trzymając się, we trójkę, za ręce. Dopiero gdy szkoła była blisko puszczały dłonie, by nie narażać go na szyderstwa ze strony klasowych kolegów. A kiedy celebra się kończyła, szli wspólnie na ciastko do cukierni na rynku lub do Oranżerii w Parku Majkowskiego. Podobno oba te miejsca były dokładnie zachowanymi budynkami pochodzącymi z końca XX wieku. Zachowano z tamtych czasów nawet część menu. Chwile tam spędzane były dla niego jak podróż w czasie. Na ten rytuał powtarzany każdego roku czekał zawsze niecierpliwie. Aż do ewakuacji.

* * *

Wrócił do rzeczywistości, do widoku tysięcy martwych ciał zamkniętych w kapsułach.

Zerwał się na nogi i pobiegł przed siebie, byle dalej od wszystkiego co widział. Pokonywał kolejne poziomy, schody, korytarze, śluzy. Krew pulsowała w głowie, serce łomotało w piersiach, a do uszu docierało echo jego kroków. Biegł aż zabrakło tchu w płucach. Stał przed wrotami, na których wielkimi czerwonymi literami napisano - WSTĘP TYLKO DLA ZAŁOGI STATKU. Bez wahania otworzył śluzę przyciskiem umieszczonym na samym środku. Po drugiej stronie przywitała go tablica z planem, na którym kolorami i napisami oznaczono poszczególne rodzaje pomieszczeń. Patrząc na planszę pomyślał o sterowni, jeśli gdziekolwiek miał spotkać kogoś żywego, to właśnie

tam. Przed wyruszeniem z kosmodromu w Orlu wszystkich pasażerów „Gryfa” poinformowano na odprawie, że podczas pięćdziesięcioletniego rejsu nad bezpieczeństwem czuwać będzie załoga. Co pięć lat automaty miały wyprowadzać z anabiozy nową zmianę pilotów, nawigatorów, inżynierów i lekarzy, a dotychczasowa wachta miała iść spać - już do końca rejsu.

Biegł przed siebie, ale teraz już w jasno określonym celu - za strzałką z napisem STEROWNIA.

Od godziny siedział w wygodnym fotelu za pulpitem i gapił się w kilka monitorów. Na większości kamery pokazywały wnętrza jakichś pomieszczeń, a na największym widać było głęboką czerń przestrzeni kosmicznej upstrzoną światełkami gwiazd. Uczył się podstaw astronomii w szkole, lecz to co widział na ekranie nie przywodziło mu na myśl żadnego z poznanych gwiazdozbiorów. Nad ekranem z widokiem kosmosu rząd chronometrów wyświetlaczami sygnalizował czas. Zatrzymał wzrok na oznaczonym - CZAS ZIEMSKI. Gdyby wszystko poszło według planu, to na Cassubia Nova powinni być już dobrych parę lat temu. Szybko przeliczył daty - opuszczając Ziemię miał prawie czternaście lat - zatem teraz ma... siedemdziesiąt cztery lata. Roześmiał się nerwowo jednocześnie szukając odbicia swojej twarzy w oszkleniu któregoś z instrumentów pulpitu. Wszystkie miały powłoki antyrefleksyjne, nic się w nich nie odbijało. Potarł dłońmi twarz, jakby szukając śladów męskiego zarostu, takiego jaki często oglądał u ojca. Palce napotkały gładką twarz. Zerwał się z fotela i odszukał toaletę z lustrem. Zobaczył swoje odbicie. Twarz chłopca, którego znał od zawsze. Wychudł, a oczy były zaczerwienione i podkrążone, ale poza tym twarz prawie się nie zmieniła. Przypomniawszy sobie jak szukał na niej pierwszych śladów zarostu. Przed ewakuacją. Wtedy, mając prawie czternaście lat, chciał się już golić, tak jak niektórzy koledzy. Tak jak jego tata.

Łatwo odnalazł mesę, w której stołowała się załoga „Gryfa”. Chwilę ślezczał nad dotykowym ekranem maszyny oznaczonej jako Uniwersalny Generator Środków Odżywczych „Danuta”. Wybrał to, co znał i lubił, dziwiąc się nawet trochę, że załoga kosmolotu „Gryf”, gdzieś w przestrzeniach międzygwiazdnych jadła to samo, co on w przytulnej mamusinej kuchni w Wejherowie. Zjadając sporą porcję plinców, które ani trochę nie przypominały domowych, zastanawiał się, co ma robić dalej, gdzie szukać pomocy. Niestety, nie było tak jak w filmach, gdzie wystarczy zapytać komputer o cokolwiek, a on udzieli natychmiast rady. Próbował już tego. Stojąc w centrum sterowni

niepewnym głosem podał pierwszą lepszą komendę jaką pamiętał z filmów - „Komputer, podaj naszą aktualną pozycję”. Zero reakcji. Ten sam efekt wywołał mówiąc głośniejsze „HAL, a może zagramy w szachy?” Zignorowane zostało także polecenie, które niemal wykrzyczał: „Matko, odtwórz ostatnie zapisy dziennika pokładowego”.

* * *

Nie mierzył upływu czasu. Kładł się spać, kiedy czuł się zmęczony. Na sypanię wybrał małą kajutę, w której prócz łóżka, szafy z ubraniami i niewielkiego stolika nie było właściwie nic. Kiedy układał się tam do snu po raz pierwszy, zobaczył przyklejone do niskiego sufitu nad łóżkiem staromodne papierowe zdjęcie rodziny. Podobne zabytki mieli jego rodzice - kartonowe albumy pełne zdjęć po praprapradziadkach.

Na zdjęciu nad łóżkiem poważny, szpakowaty mężczyzna w mundurze gwiazdnej floty obejmował prawym ramieniem uśmiechniętą, patrzącą prosto w obiektyw kobietę. Ona zaś ułożyła dłonie na głowach dwójki siedmioletnich ośmiolatków. Każdy z bliźniaków widocznych na fotografii patrzył w inną stronę, jakby już chcieli skończyć pozowanie i popędzić do swoich zajęć. Za plecami rodziny widać było drzewa i budynek, który przy bliższych oglądzinach zdjęcia okazał się być Kaplicą Grobu Chrystusa na wejherowskiej kalwarii. Znał doskonale to miejsce. Kolejne władze miasta troszczyły o to by wszystkie kaplice kalwarii były zadbane. A gdy w 2078 roku jedna z nich została doszczętnie zniszczona przez pożar, odbudowano ją dokładnie według holograficznych planów. Za ogromne pieniądze udało się nawet sprowadzić z drugiego końca świata cegły z XVII wieku, przechowywane w magazynie jakiegoś muzeum. Kaplica Grobu Chrystusa była mu bliska, nie tylko z powodu jej szanowanej na całym świecie zabytkowości, ale także z powodu spacerów z rodzicami, no i przede wszystkim... wspomnienia pierwszego pocałunku. To tu, w ostatni dzień wakacji, stał długo z Karoliną i nagle jakoś tak samo wyszło....

Odpędził wspomnienie, bo następną myślą była. ewakuacja. Zaczęła się kilka dni później. Nawet nie zdążył się pożegnać z Karoliną. Nie wiedział, czy została w Wejherowie, czy znalazła się na innym statku. Na „Gryfie” nie było jej z pewnością - sprawdził na liście pasażerów wyświetlanej na jednym z monitorów w sterowni.

* * *

Mijały dni, tygodnie, miesiące, a on nadal nie wiedział, co zaszło na pokładzie „Gryfa”. Dlaczego tylko on ocalał? Dlaczego załoga opuściła statek w porządkach ratunkowych, po których zostały tylko puste nisze na pokładzie łą-

dowiskowym? Przecież wyglądało na to, że „Gryf” jest nietknięty! Niestety gimnazjalny zasób wiedzy nie pozwalał na ustalenie położenia statku w przestrzeni. Nie umiał nawet uruchomić komunikatora, by nadać jakikolwiek sygnał.

Nie mając pomysłu na poszukiwanie ratunku zajął się rozrywką. Godzinami przesiadywał w sali projekcyjnej. Oglądał bez jakiegokolwiek ładu wszystko, co zgromadzono w mnemonicznych zasobach kosmolotu. Dokumenty, horrory, westerny 3D, kryminały 4D, filmy przygodowe 5D, a nawet ckeliwe romanse i ponure dramaty psychologiczne. Oglądał wszystko, jak leci. Pewnego dnia trafił na sympatyczną stareńką ramotkę kostiumową z początków XXI wieku. Widząc pierwsze sceny filmu o mało nie zakrztusił się kosmicznym erzaczem popcornu zaserwowanego przez „Danutę”. Rozpoznał swoje rodzinne Wejherowo! Jeszcze nie tak dawno, choć przecież, po prawdzie, już kilkadziesiąt lat temu, odwiedzał miejsca, które widniały w filmie. Cały historyczny skansen miejski, do którego w jego czasach sprzedawano bilety wstępu - rynek z faram, pałac i otaczający go park, no i rzecz jasna – kalwaria. Od tego dnia „Adelajda” stała się obowiązkowym elementem codziennych projekcji. W scenografii na ekranie odruchowo szukał znajomych twarzy. Wypatrywał Karoliny, kolegów, nauczycieli, osiedlowego bezdomnego włóczęgi, znajomego listonosza, a przede wszystkim rodziców.

Od kilku miesięcy nie chodził już na filmy. Najpierw popadł w odrętwienie, a potem godzinami łąził po korytarzach i gadał do siebie. W porach snu leżał w kajucie i rozmawiał z ludźmi ze zdjęcia na suficie. Opowiadał im o odbywanych niemal codziennie, z klasowym kolegą Pawłem, łążęgach po Wejherowie. Wspominał sobotnie wyprawy z tatą do baru na pyszne krucle ze skleszem. Według zapewnień taty podawano je tylko tam. Właściciel baru pilnie strzegł receptury zapisanej w kajecie, który odziedziczył po swoim pradziadku, ten zaś był z kolei kuzynem dziadka jakiegoś sławnego pisarza, autora przepisu na krucle.

Postaciom ze zdjęcia zwierzał się z tęsknoty za wieczornymi rozmowami z mamą, za rodzinnymi wyjściami do muzeum kina wejherowskiego. Wspominał z uśmiechem te płaskie projekcje filmowe jakie prezentowano w muzeum. To tam pierwszy raz zobaczył, uznawane od ponad wieku za absolutną klasykę, „Gwiezdne wojny”. Podobały mu się, mimo, że były bezzapachowe, bezdotykowe i ani trochę nie moderowalne. Wciąż miał przed oczyma obraz przytulonych do siebie rodziców siedzących w muzealnej sali kinowej, a potem, w drodze powrotnej do domu, poszturchujących się i przerzucają-

cych się tekstami filmowymi. Zapamiętał jak mama patrzyła wtedy tacie w oczy i mówiła przejętym głosem naśladowując księżniczkę Leię - *You are my only hope...* . Tata zaś ciężko dysząc starał się odpowiadać głosem Vadera - *You don't know the Power of the Dark Side*. Śmiali się przy tym tak, że nawet ludzie jadący śmigaczami ciągiem komunikacyjnym oglądali się za nimi. Wspominając nawet tak radosne chwile płakał. A potem zasypiał, wciąż ze łzami w oczach.

* * *

Obudził go dźwięk syren alarmowych rozlegających się chyba na całym statku. Kiedy wybiegł na korytarz usłyszał komunikat z głośników: „Zbliżamy się do punktu planowej zmiany kursu. Zbliżamy się do punktu planowej zmiany kursu. Zatwierdź zmianę kursu lub zaakceptuj powrót do bazy. Zatwierdź zmianę kursu lub zaakceptuj powrót do bazy.” I tak w kółko. Rozglądał się bezradnie zastanawiając się co począć. Przez ostatnie lata jedyne decyzje jakie musiał podejmować dotyczyły tytułów wyświetlanych filmów i doboru posiłków generowanych przez „Danutę”. Po pierwszym zaskoczeniu postanowił ignorować komunikat - cóż obchodziła go zmiana kursu. Jakiego kursu, dokąd prowadzącego?! Co za brednie. Rejs trwał już o wiele za długo, by wierzyć w to, że nawet jakiś nowy kurs zaprowadzi „Gryfa” do leżącej Bóg wie gdzie kolonii Cassubia Nova. A cóż mógł oznaczać „powrót do bazy”? Kilkudziesięcioletni lot do Ziemi? Przecież według wszelkich komunikatów naukowych publikowanych przed ewakuacją Ziemia miała się łąda moment stać wypaloną do cna bryłą żużla. Też mi baza - tak pomyślał słuchając namolnego głośnikowego komunikatu. Wzruszył ramionami i wrócił do kajuty. Nie przewidział jednak tego, że wezwanie do zmiany kursu będzie powtarzane w nieskończoność. Po godzinie nie wytrzymał. Rozwalił blasterem kilkanaście głośników najbliższych jego kajucie. Zrobiło się dużo ciszej. Zasnął.

* * *

Leżąc na plecach otworzył oczy. Znów patrzył na fotografię kochającej się rodziny.

Westchnął cicho - ciekawe czy was też rozdzielili. Zszedł z łóżka z zamiarem powleczenia się do mesy na śniadanie. Na korytarzu usłyszał dobiegający z oddali i powtarzany od trzech dni „kursowy” komunikat. Nieee, no trzeba z skończyć z tym gadaniem - powiedział do siebie. Wrócił do kabiny, chwycił blaster, trzasnął drzwiami i zdecydowanym krokiem ruszył do sterowni. Zaraz przy wejściu wykonał dwie szybkie egzekucje na głośnikach, odwrócił się i ruszył w głąb pomieszczenia by dokończyć zagłady. Zatrzymał

się w pół kroku. Na jednym z pulpitych migły intensywnym żółtym światłem jakieś kontrolki, które dotychczas były zupełnie martwe. Podeszedł i spojrzał na pulpit - błyskały dwa przyciski. Jeden opisano - AUTO ZMIANA, drugi AUTO POWRÓT. Bez chwili zastanowienia wyciągnął dłoń ku pulpityowi i wcisnął przycisk. Na statku zaległa cisza, a w jego głowie ucił zgiełk myśli. Wreszcie, wreszcie.

* * *

Leżąc w kapsule anabiotycznej patrzył na jej urządzenia przygotowujące go do kolejnego długiego snu. Widział jak przez przezroczyste przewody pompa infuzyjna tłoczy w jego żyły kolorowy koktajl anestetyków. Obraz chromowanego ramienia automatu lekarskiego stawał się coraz bardziej rozmyty, nierealny. A potem nagle usłyszał szum morza. Poczuł drobną i ciepłą dłoń matki w swojej dłoni, oraz palce ojca delikatnie mierzwiące mu czuprynę. Znowu był bezpieczny.

Krzysztof Szkułatowski

Narada

słuchowisko

(odgłos przesuwających się drzwi windy)

Uno: O, Duo, dzięki, że czekałeś. Zawsze mam kłopot, kiedy z tej pionowej jazdy na siedemnaste piętro muszę wejść na poziom.

Duo: Witaj, Uno. To uważaj, ten ruchomy chodnik już nie przypomina dywanu, przydałaby się wymiana.

(szum przesuwającego się mechanizmu)

Uno: Pomyślmy o tym. W końcu biblioteka powinna być zadbana, coś sobą reprezentuje.

Duo: Wciąż używasz tej starej nazwy....

Uno: Ty też wolisz tak mówić, a nie audiofonoteka. Obaj lubimy te stare pamiątki...

Duo: No wiesz.... to słowo biblio... w końcu "biblios" to znaczy książka.... tylko kto dziś jeszcze czyta, przy stanie naszego wzroku.

(dźwięk rozsuwającej się ściany imitowany dziecięcymi cymbałkami)

Uważaj! Nigdy nie czekasz na całkowite rozsuniecie się tej ściany. Twój pradziadek był bardziej opanowany.

Uno: Nie tylko my lubimy starocie. Tres też. Wystarczy jak urządziła tą salę ...te niezdrowe, wyściełahe fotele...

(rozsuwanie się ściany)

Tres: Witajcie, panowie.

Uno, Duo: Witaj, Tres.

Tres: Będziemy musieli poczekać na Qatro, spóźni się. Straszne korki nad Wejherowem, nie będzie miał gdzie posadzić swojego helikoptera.

Uno: No tak, rzeczywiście, ta konferencja. Dobrze, że to nie mój resort. Ale czy ty nie powinienes tam być?

Duo: Wiesz przecież, że teraz wszędzie są automaty. Kto dziś tak naprawdę ma ochotę na jakiś reportaż?

Tres: Nie będzie mojej asystentki - jest w błogosławionym stanie. Czy któ-

ryś z was pamięta, że tak się kiedyś mówiło o kobiecie spodziewającej się dziecka?

Duo: Jakże? Jej mąż od dawna siedzi w Egipcie i kontroluje te ich wybory... In Vitro?

Tres: A ktoś jeszcze dziś stosuje te staroświeckie metody! Tylko elektronika! Wszystko elektronika. Może mniej romantycznie, ale za to jaki przyrost demograficzny.

(odgłos rozsuwanej ściany)

Uno: A cóż to za prześliczna Chinceczka... nowy nabytek?

Tres: Wczoraj była promocja. Nareszcie zaczęli produkować porządne wyroby, odkąd się za nich wzięła nasza Komisja Badania Jakości.

Uno: Poza tym muszą się liczyć z faktem, że są naszym najbliższym sąsiadem za wschodnią granicą.

Robot: Dzieńńńńń dobli pańńństwu.

Uno: Co ona trzyma w rękach? Co to za cylindry?

Tres: Wyobraźcie sobie, znalazłam to w starym magazynie, chyba jeszcze nabytek mojej prababci. Uwierzycie, że to są pojemniki na kawę, które utrzymują ją w wysokiej temperaturze, a kawa jest o wiele smaczniejsza, niż ta z automatu?

Robot: Cziiiiii nalewaććććć prosie pannnnni?

Tres: Zostaw, sami to zrobimy.

(narastający głos silnika, rzosuwanie się ściany)

Uno: Wiecie co, czas biegnie a kawa jest ponadczasowa. O, jest Qatro, wyładowałeś jakoś?

Qatro: Witajcie, witajcie. Na sąsiednim budynku znalazłem kawałek wolnego miejsca. Powiem wam szczerze, że w takie dni jak dzisiejszy, wcale mnie nie cieszy to, że Wejherowo jest stolicą Unii.

Tres: A właściwie czego dotyczy ten dzisiejszy zjazd?

Qatro: Chińczycy zdecydowali się na przystąpienie do strefy euro. Przysłali liczną delegację, nie wiem, czy ta konferencja odbędzie się tam, gdzie planowano.

Tres: A gdzie planowano?

Qatro: W Filharmonii. Swoją drogą, ile lat ten budynek już stoi i ile wytrzymał

Uno: Zastanawiam się, czy utrzyma się ta nazwa euro. Już od dłuższego czasu mówi się w naszym wejherowskim parlamencie o zmianie tej nazwy.

Duo: Oczywiście, opozycja wtrąca swoje trzy centy.

Tres: Słyszałam, że proponuje się wejhery i hildebranty.

Duo: Właśnie. I trwa dyskusja - czy euro to wejhery, a centy hildebranty, czy odwrotnie...

Tres: Też bym się zastanawiała. Ale panowie, może zostawmy ta wielką politykę i zajmijmy się tym, po co się tu zebraliśmy.

Qatro: No właśnie, właśnie, po co?

Uno: Ty jak zwykle. Mam nadzieję, że przeczytałeś wszystko, co miałeś przeczytać?

(szelest kartek, odgłosy włączanych laptopów)

Uno: Są tacy, co jeszcze przesyłają tradycyjnie, popatrzcie - kartki papieru. Wzruszające.

Qatro: Oczywiście, że przeczytałem.

Tres: A zatem, panowie, otwieram zebranie, którego celem jest ocena przysłanych prac na dwieście trzydziesty siódmy konkurs "Powiew Weny".

Uno: To może ja zacznę...

(stopniowo cichnące głosy)

Bogusława Zubrzycka

Przeszłość w przyszłości...

- ... i żebyście nie zapomnieli, że żyjemy w XXV wieku, przesyłam wam pracę domową. - W oknie dialogowym pojawiła się ikona ze ściąganą pracą domową. W interkomie usłyszałem okrzyki niezadowolenia i buntu. Koleżanki i koledzy mieli rację - nikt nie myślał o całkach, gdy rozpoczynał się sezon. Odpoczynek podobno jest równie ważny, co nauka, tak mówią. A potem zadają nam stos prac domowych na wolne. W jakich czasach przyszło nam żyć...

Odłączyłem się od pulpitu uczącego i przeciągnąłem się. W drzwiach stał mój przyjaciel, a od dzisiejszego wieczoru również wierny sługa, Kuba. Ubrany był w szykowną tunikę dobraną pod kolor jego zielonych oczu oraz nogawice w jaskrawe romby. Na nogach widniały buty z dzwoneczkami.

- Niech jaśnie pan raczy przywdziać swoje czcigodne pantaloney i ruszamy w tango!

- W średniowieczu nie było tanga. - Pokręciłem głową z dezaprobatą, ale wyraz powątpiewania na twarzy kumpla umniejszył moją pewność we własną wiedzę. - Tak myślę. - Jego entuzjazm udzielił mi się, dlatego zerwałem się z siedzenia, zrzucając po drodze kombinezon uniwersalny i w samej bieleźnie pomknąłem ku łazience. Nie dbałem o poskładanie ubrań. Niech Kuba wprawia się w swoją nową rolę.

Przyłożyłem kciuk do skanera i drzwi otworzyły się. W niewielkim pomieszczeniu specjalna aparatura dokonała dezynfekcji mojego ciała i nałożyła na nie cieniutką powłokę składającą się z mikroelementów łączących się z moim układem nerwowym. Sam zabieg jest niemiłosiernie nieprzyjemny, ale dzięki niemu przez najbliższe dwa tygodnie będę mógł aktywnie uczestniczyć w zabawach zaplanowanych na tegoroczny turniej. Po zakończeniu wszystkich przyjemnych i tych trochę mniej przyjemnych procedur, stanąłem przed lustrem, wypróbowując kolejne uczesania, jakie doradzał komputer. Jakoś żadne nie przypadło mi do gustu. Postanowiłem więc postawić na artystyczny nieład. Ze strojem nie było problemu, bo ten miałem tylko jeden, przygotowany wcześniej specjalnie na wielką ucztę rozpoczynającą zabawę. Wśród kłębow pary wyszedłem z łaźni w pełni przygotowany do łamania niewieścich serc.

- Ptak ci uwił gniazdo na głowie, panie? - widać mój sługa nie podzielał mojego zdania odnośnie doboru fryzury. - Mości książe pozwoli, że użyję tego jakże zacnego urzędu zwanego szczotką, by uporządkować to... to coś. - Dorwał mnie i zaczął torturować, przeciągając końskim włosiem po moich kruczoczarnych włosach. Poszło mu dużo lepiej, niż maszynie, bo tym razem efekt końcowy mnie zadowolił. Może trzeba czasem trochę pocierpieć, by docenić to, co się ma? Chociażby i na głowie.

Napreżyłem się przed lustrem. Ręcznie szyte srebrne hafty kaftana idealnie pasowały do mojej bladej cery, wydatnych kości policzkowych i niebieskich oczu. Jakub podszedł do mnie uroczystym krokiem i z namaszczeniem pomógł przypiąć mi pas z mieczem paradnym.

Wyjąłem oręż na próbę. Gładka stal ciążyła w dłoni przyjemnie. Dawała poczucie władzy nad życiem i śmiercią. Żeby otrząsnąć się z patetycznych myśli, przeciąłem dłonią stal. Przeleciała na wylot przez hologram oręża bez żadnej szkody.

- Jeszcze nie włączono punktacji - przypomniał Kuba, zarzucając mi pele-rynę na plecy. Otworzyłem pudełko na biżuterię i zacząłem nakładać ciężkie klejnoty na swoje smukłe palce. Zwykle imitacje, chociaż wykonane z najprawdziwszego srebra. Odkąd odkryto, w jaki sposób ze zwykłego piasku można wytworzyć dowolny materiał, jakiegokolwiek ceny surowców przestały mieć swoją wartość. Tak samo było z energią - jej niewyczerpane źródła zapewniły wszystkim darmowy prąd. Oczywiście udostępniono ją światu dopiero po tym, jak największe mocarstwa przeniosły swoich obywateli w kosmos.

Tak, wszechświat został podzielony. W XXII wieku zbudowano pierwszego sztucznego satelitę, mogącego samodzielnie, bez jakiegokolwiek ingerencji z zewnątrz, utrzymać przy życiu dwudziestoosobową załogę. Na początku XXIII wieku Amerykanie, Rosjanie i Japończycy wystrzelili trzy podobne do siebie stacje badawcze w trzy różne strony kosmosu. Po niecałych stu latach podróży nadświatłowych ekipy niezależnie od siebie ogłosiły, że znalazły kilka różnych planet zdolnych do zaludnienia. I tak trzy czwarte ludzkości zostało wcielone do akcji podboju kosmosu. Na tych, co pozostali, czekały puste metropolie i technologie, których budowniczy opuścili Układ Słoneczny. Trzeba było na nowo zająć czymś ludzkość mieszkającą na Ziemi.

Niestety, wszystkie problemy takie jak globalne ocieplenie, topnienie lodowca, czy zatrutowanie środowiska odpadami przestały być aktualne. Samochody zaczęto napędza energią elektryczną, nie silnikami spalinowymi. Zaprzestano sztucznie modyfikować żywność, bo z kamienia można było stworzyć kosz truskawek. Na Ziemi żyło się lepiej i jednocześnie gorzej. Lu-

dzie popadali w depresję, nie widząc możliwości dalszego rozwoju. Na naszej planecie nastąpiła stagnacja technologiczna. Poszczególne cywilizacje powoli zamykały się w miastach pokrytych szczelnymi kopułami, w obrębie których władcy próbowali sztucznie wytworzyć obieg dóbr materialnych. Niektórym nawet się to udało.

Polska nie należała do najbogatszych krajów. Chyba tylko to uratowało nas przed ogólnoswiatową depresją i wyginięciem. No i, oczywiście, znaleźli się ludzie, którzy wpadli na pomysł, jak można rozruszać gospodarkę kraju, w którym można mieć wszystko, co się chce. Stworzono...

- Ej, Śpiąca Królewna jesteś, czy jak? Bajki ci się chyba pomyliły. Księżę - Dodał z przekąsem Jakub, podczas gdy jego dłoń machała mi przed oczami niczym nowoczesne wycieraczki. - Takie zamysłone miny zostaw dla widzów. Zaraz zacznie się uczt!

Poczułem jak silne ręce wypychają mnie z pomieszczenia, które nazywałem domem. Za nami zatrzasnęły się drzwi, odcinając mnie tym samym od technologii na całe dwa tygodnie. Tym samym, przenieśliśmy się do średnio-wiecznego królestwa, które moim skromnym zdaniem więcej wspólnego miało z bajkami niż realną historią.

Przywitały nas skoczne rytmy melodii wygrywanych na dudach, piszczałkach, skrzypcach i bębnach. Goście już zasiedli do stołów, równie podekscytowani jak sami aktorzy. Herold ogłosił moje pojawienie się, gdy tylko przekroczyłem próg sali biesiadnej. Król Ojciec jeszcze się nie pojawił, tak samo Jaśnie Królowa Matka. Zająłem miejsce po prawej stronie ozdobnego krzesła należącego do mego ojca. I wtedy ją ujrzałem.

Dwa stoły dalej niczym płocha przepiórka na brzegu ławy siedziała nie dziewczyna, lecz anioł. Jej złote pukle włosów skręcały się w połyskujące w migotliwym blasku świec pierścienie, blade policzki muśnięte były pudrem, a ściągnięte usta pociągnięte barwiczką. Spoglądała zatrwożonym wzrokiem po solidnie zbudowanych sąsiadach, którym wódka gdańska już zaczynała uderzać do głowy. Wstałem, by wyzwolić damę w opresji, lecz w tym momencie rozległy się fanfary i na salę wkroczył Król Ojciec. Roztaczał się od niego majestatyczny blask (zapewne sprawka techników dbających o efekty specjalne). Wróciłem wzrokiem do pięknej damy, ale jakież było moje rozczarowanie, gdy okazało się, że gdzieś zniknęła.

Przez całą przemowę uwaga moja była skupiona na szukaniu wśród słuchającej w skupieniu gawiedzi tej jednej zabłąkanej duszyczki. Musiałem ją odnaleźć. Nie zdążyłem przecież zapamiętać kształtu ani barwy jej oczu. Wiedziałem jedynie, że są piękne.

- Turniej będzie się składał z dwóch konkurencji! Walk na lance oraz

walk mieczem na ubitej ziemi! - Głos króla idealnie rozchodził się w każdym kierunku, także tak samo dobrze słyszeli go widzowie siedzący przy najbliższych stołach jak i ci siedzący na końcu sali. Zasluga pracy dźwiękowców - głośniki oraz kamery były niewidoczne, lecz umieszczone w każdym miejscu zamku. W końcu wizja szła na żywo na cały kosmos. - Dozwolona jest tylko i wyłącznie broń holograficzna. Z dokładnym opisem, przebiegiem turnieju oraz punktacją każdy z uczestników turnieju miał obowiązek zapoznać się przed przekroczeniem bariery do naszego wieku. Ale zasady walki zaczynają obowiązywać dopiero od jutra. Dzisiejszej nocy punktowana jest jedynie zabawa!

Jak na zawołanie wszyscy unieśli puchary z winem we wspólnym okrzyku aprobaty. Orkiestra ożywiła się, wtórując wrzawie. Jak zaczarowany poderwałem się z krzesła i ruszyłem na środek sali, gdzie powoli znajdowały się pary podrygujące i przytupujące w rytm muzyki. Dostrzegłem ją. Jakiś osobnik zarywał do niej, dwojąc się i trojąc w staraniach o jej uwagę. Co gorsze, amant był ponadprzeciętnej urody o równie rozłożystych barach co moje. Mało tego - jego zabiegi przynosiły skutek, ponieważ perliczka chichotała w rękaw, by nie ukazać za wiele swych ślicznych białych ząbków. To ugodziło w mą własną dumę osobistą. Rozśmieszać damę, gdy ta zapomniała wachlarza? Skandal! Ruszyłem na odsiecz.

- Pani pozwoli do tańca. - Mój ukłon był bez zarzutu.

- Z przyjemnością. - Bo jakże to można odmówić pierwszego tańca samemu księciu?

I tak tańczyliśmy - pierwszy taniec, potem drugi, potem trzeci, kolejny i kolejny, aż orkiestra się zmęczyła, a panienka zrobiła się głodna. Mój żołądek przepełniony był motylami, dlatego głodu nie czułem. Wróciłem na swoje miejsce, gdzie czekał już na mnie mój wierny sługa Jakub.

- Tylko nie proś mnie, książę, bym wieczorem masował twoje królewskie odciski. - Nalał wina do mojego pucharu.

- Kuba, chyba się zakochałem.

- To widać. - Nie szczędził mi złośliwych min i uwag.

- Tylko jak sprawić, by ona również mnie pokochała?

- Jeżeli zdobyć chcesz serce pięknej damy, najlepiej wygraj turniej.

Uczta trwała niemal do samego rana. Ma ukochana trwała przy mnie do końca. Z przyjemnością odprowadziłem ją do jej komnaty, gdy zaczynały się już jej kleić oczy ze zmęczenia. Okazało się, że była zakwaterowana w zamku jako jeden z gości specjalnych, co też niezmiernie mnie ucieszyło. Mogłem widywać ją całymi godzinami, co też w następnych dniach czyniłem.

Jednocześnie trwały zmagania rycerzy. Potyczki rozgrywały się głównie między amatorami po raz pierwszy trzymającymi w ręku miecz. Większość

z uczestników turnieju miała głównie doświadczenie w uczestniczeniu w dużo bardziej popularnych grach z XX i XXI wieku, na których używało się broni palnej. Ja natomiast, jako książę krwi od dziecka uczyłem się, jak wlaść mieczem, za jakie trafienia zdobywa się najwięcej punktów, jak unikać ciosów przeciwnika. Wszystko to była dla mnie jak bułka z masłem. Najtrudniejsze dla mnie okazało się odrywanie od mej anielicy i stawianie się na czas na wyznaczonym polu, by nie oddać walki walkowerem.

Widownia na trybunach biła gromkie brawa, gdy zanurzałem holograficzne ostrze po samą rękojeść, stukając nią o pancerz przeciwnika. Specjalne pole siłowe pozwalało jedynie na taki ruch, jaki w rzeczywistości dałoby się wykonać mieczem prawdziwym, ze stali. Wyciągałem wtedy broń drogą, którą ją tam umieściłem, a przeciwnik upadał na ziemię, udając śmiertelnie rannego bądź zabitego, wedle własnego uznania. Zarówno widownia jak i zabici bawili się wyśmienicie.

Niestety, spore zainteresowanie budziły również postępy amanta, który na pierwszej uczcie próbował zyskać względy mojej damy serca. Sprawnie posługiwał się zarówno kopią jak i olbrzymim mieczem, z wyglądu przypominającym bardziej topór niż szlachetny oręż. Znany był z brutalnego prowadzenia potyczek, a śmiałkowie, którzy się z nim mierzyli, wychodzili często poobijani i z licznymi zadrapaniami i siniakami. Doszło nawet do kilku złamań, za co chciano go zdyskwalifikować. Cudem zezwolili pozostać mu w grze warunkowo. Zapewne zainterweniował ktoś z zewnątrz. Na szczęście chłopak trzymał się ode mnie z daleka.

Równie dużą sensacją okazał się Błędny Rycerz, który oznajmił wszem i wobec, że twarz swoją ukaże dopiero w momencie, gdy wygra cały turniej. Okazał się niebezpiecznym konkurentem, gdyż przeciwników powalał kilkoma ciosami, a w siodle nie miał sobie równych.

- Pamiętasz tą górę mięsa, która to zarywała do twojej dziuni? - Zagadnął do mnie pewnego razu Jakub, gdy trenowaliśmy sztychy.

- Jak mógłbym zapomnieć tak brzydką gębę? - Zapytałem, parując atak kumpla.

- Wczoraj wróciłem z karczmy. Wiesz, co ten pacan rozpowiada?

- Oświeć mnie.

- Że zbałamuci twoją drogą gołąbkę zaraz po tym, jak skopie ci twój książęcy tyłek. - Z wrażenia wypadła mi broń z ręki, a ostrze służącego musnęło moją zbroję do treningu w okolicach serca. - To jego słowa, nie moje.

Nie mogłem tego znieść. Niczym burza wparowałem do karczmy, w której rzekomo miał wynajęty pokój osiłek, którego sam widok doprowadzał

mnie do białej gorączki. Był z lekka podпиты i o mały włos nie przeoczyłby mojego wejścia smoka.

- Wstawaj kmieciu! Wyzynam cię na pojedynek! Na śmierć i życie! - Rzuciłem mu rękawicę pod nogi. Ten wstał i chwiejnym krokiem podniósł ją, po czym wyprostował się na całą swą wysokość. Dopiero teraz zauważyłem, że jest o pół głowy ode mnie wyższy. Nie umniejszyło to mojej determinacji.

- Przyjmuję twoje wyzwanie, księciuniu. - Czknął, zachwiał się, po czym z powrotem opadł na ławę. - W każdym miejscu, o każdej porze. Tylko nie teraz i nie tutaj.

- Oczywiście, że nie teraz! Pokonanie kogoś w tak marnym stanie byłoby poniżej mej godności. - Oznajmiłem z pogardą. - Wzywam wszystkich tu obecnych na świadków. Masz się stawić jutro w południe na placu przed tą karczmą. Wtedy rzucę ci wyzwanie ponownie, byś w pełni sił umysłowych mógł zdecydować, czy przyjmujesz wyzwanie, czy też nie. - To powiedziawszy, wyszedłem z karczmy. Nie mogłem już się doczekać starcia z tym człowiekiem.

Następnego dnia stawilem się w pełnym rynsztunku na placu przed karczmą. Według zegara na wieży dochodziła dwunasta. Wokół placu zgromadziła się spora grupka gawiedzi, chcąca popatrzeć na nową dla nich atrakcję. Równy z wybiciem pierwszego dzwonu z wejścia do karczmy wyłonił się ogromnej postury mężczyzna, który śmiał obrazić moją ukochaną oraz mnie.

- Wyzynam cię na pojedynek na ubitej ziemi. Na śmierć i życie. - Rzuciłem mu tą samą rękawicę co poprzedniego dnia.

- Czy drugi raz muszę się schylać i podnosić rzeczy, które wasza królewska mość upuściła? - Zakpił, sięgając po rękawicę. - Wtedy nie uchybiłem twemu wyzwaniu, teraz też nie zamierzam. Tym razem może być tu i teraz. Na śmierć i życie. - Jego uśmiech był nieprzyjemny, pełen pewności siebie.

- Świetnie. Zaczynamy więc.

Zgodnie ze zwyczajem, Kuba wyznaczył okrąg, w obrębie którego miała stoczyć się nasza walka. Wyjście poza niego oznaczało poddanie się i okrycie się hańbą. Owe "na śmierć i życie" to ni mniej, ni więcej, jak walka do utraty wszystkich punktów. Każdy z graczy mógł wykupić sobie dodatkowe życia. Oczywiście kosztowało to spory majątek, a wszystkie dane na temat udoskonaleń innych graczy były jawne tylko dla sędziów sprawujących pieczę nad punktacją graczy. Jako książę, miałem nieskończoną liczbę żyć, co nie było tajną informacją. Miałem nadzieję, że mój przeciwnik okaże się skąpcem i że nie wykupił dodatkowych żyć, dzięki czemu zniknie mi z oczu (przynajmniej aż do następnej sesji).

Zaczął się niewinnie. Okrążaliśmy się wzajemnie po łuku, próbując wy-
czuć przeciwnika. Jako rzucający wyzwanie i (cóż, muszę przyznać) ten, któ-
rego poniosły nerwy, skoczyłem na niego w krótkim wypadzie. Nasze klingi
skrzyżowały się, po czym zaraz odstąpiliśmy od siebie. Był sporo silniejszy
ode mnie, brakowało mu jednak mojej szybkości oraz wprawy. Działąłem
instynktownie, gdy on musiał wytężać wszystkie swoje umiejętności, by nie
dać się trafić. Przypuściłem na niego szybką serię krótkich cięć. Nie zdołał
powstrzymać wszystkich - zobaczyłem, jak na jego zbroi ukazują się szkar-
łatne pręgi, oznaczające utratę sporej ilości punktów. Zdobyłem przewagę.

Kolejnym razem to mięśniak skoczył na mnie. Próbował ciosu ukośnego,
znad prawego barku. Wystarczył pół-piruet, by nie musieć nawet parować
ataku. Odskoczyłem lekko, lecz zbyt wolno. Zaraz musiałem zrobić kolejny
unik, który nie wyszedł równie pięknie, co poprzedni. Ostrze śmignęło obok
mojego policzka, a ja poczułem w nim przeciągły ból. Coś ciepłego ściekło mi
po brodzie i kilka kropel oderwało się od niej, spadając na ziemię. Po gawie-
dzi przeleciał lekki szmer. Przeraziłem się, że może to są moje łzy, lecz oczy
miałem suche, a wzrok przejrzysty. Nie było czasu zastanawiać się nad tym
dłużej, chociaż miałem pewność, że działo się coś niewłaściwego. Coś, przez
co należało przerwać pojedynek.

Silne pchnięcie zmusiło mnie do oddania kawałka pola walki, ale szybko
zrewanżowałem się cieciami w pieszczel. Od siły ataku olbrzym upadł na jed-
no kolano, zaraz jednak podniósł się. Gdybyśmy walczyli na prawdziwe mie-
cze, z pewnością już więcej by nie wstał tego popołudnia. Czas włókł się nie-
miłosiernie. A może tylko tak mi się zdawało. Wymienialiśmy wiele szty-
chów, stosowaliśmy parady, podczas których publika wzdychała, biła brawo
i wiwatowała. Każdy wysiłek włożony w kolejny cios dawał mi poczucie sa-
tisfakcji, jak i ogromne zmęczenie. Zapewne z tego drugiego powodu popeł-
niłem karygodny błąd. Na moment opuściłem gardę, źle oceniając tor lotu
oręża przeciwnika. Wykorzystał fakt, że nie zdążę wykonać parady ani uciec
przed jego ostrzem i opuścił miecz. W ostatniej chwili osłoniłem się wolną
lewą ręką w obronnym geście. W duchu liczyłem na to, że pole siłowe towa-
rzyszące przechodzeniu broni przez ciało spowolni śmiertelny cios, a ja nie
utrączę aż tylu punktów, ile bym mógł. Tylko że miecz nie zatrzymał się na
kości. Przeciął ją i z chrupotem zagłębił się w moje ramię. Upadłem najpierw
na jedno kolano, potem na drugie. Dopiero wtedy pojąłem powagę sytuacji.

Mój dłoń leżała na ziemi obok mnie - odcięta. Z kikuta tryskała krew,
a zimna stal zanurzona była w moim barku, stykając się z moimi żebrami.
Powoli uniosłem wzrok pełen niedowierzania. Mój przeciwnik miał podob-
ne spojrzenie pełne lęku. Rękojeść już nie leżała w jego dłoniach. Sterczała

z mojego korpusu. Również upadł na kolana z otwartymi szeroko oczami, powtarzając w kółko "Nie. To nie tak miało się skończyć. Nie... nie... nie...". Spróbowałem skupić wzrok na otaczającym mnie tłumie. Ludzie wrzeszczeli chaotycznie jak na tanim horrorze z epoki nowoczesnej. Powoli przestawałem ich słyszeć, nie czułem już niemal niczego. Jak przez mgłę widziałem sanitariuszy wybiegających z pobliskiej chaty będącej jednym z przejść między centrum obsługi klienta a średniowieczną krainą, na której aktualnie się znajdowałem. Właściwie, na której aktualnie umierałem...

Gdyby nie wszechogarniający ból, nie czuł bym, że żyję. Jednak każdy oddech przyprawiał mnie o kolejną falę bodźców, których wolałbym teraz nie czuć. Otworzyłem oczy. Chwilę zajęło, nim dostrzegłem coś poza ogólnie panującą jasnością. Widok, który ujrzałem, niezwykle mnie ucieszył. Była to moja najdroższa, złotowłosa pani, siedząca przy moim łóżku i trzymająca mnie za zdrową dłoń. Tym razem włosy miała spięte w schludnego koka, a ubrana była w kombinezon z pewnością nie z epoki średniowiecza. Podoobała mi się w takim wydaniu, chociaż oczy miała napuchnięte i zaczerwienione od płaczu. Otworzyłem usta, by przywitać się z jej rozjaśnioną twarzą i pocieszyć ją, że czuję się lepiej, jednak przeszkodziła mi w tym maska tlenowa.

- Tak się cieszę, że operacja się udała. - Delikatnie uściśnęła moje palce trzymane w jej cieplej dłoni. - Pewnie jesteś ciekaw, co takiego się wydarzyło.

Mrugnąłem dwa razy, niezdolny, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk.

- Byłeś nieprzytomny przez kilka dni. Sesja już się skończyła. Miałeś kilka operacji, na szczęście nie było żadnych powikłań. Teraz nanoboty w twoim organizmie scalają układ nerwowy, byś na nowo mógł w pełni sprawnie poruszać dłońią. Przenieśli cię do skrzydła szpitalnego. Wyjdiesz stąd za jakieś dwa tygodnie cały i zdrowy. Będziesz mógł zachować blizny jako oznakę swojej dzielności.

Poruszyłem się niespokojnie, przypominając sobie wydarzenia, które pamiętałem jako ostatnie. Zrozumiała, o co mi chodzi. Uśmiechnęła się ciepło.

- Gratulacje. Pomogłeś mi pojmać groźnego przestępcę. Nie, nie chodzi o przeciwnika, z którym walczyłeś. Może po kolei. Przybyłam na ten turniej w imieniu Komisji Spraw Bezpieczeństwa, ponieważ ktoś rozprzestrzenił plotkę, że zamierza przejąć średniowieczną część Pomorza i uczynić ją swoim królestwem. Pilnie śledziłam wszystkie ważniejsze wydarzenia. Byłam również świadkiem twojej walki. Zaraz po niej, gdy zostałeś odwieziony pod pilnym okiem lekarzy do szpitala, twój przeciwnik sam oddał się w nasze ręce. Był w głębokim szoku, że omal cię nie zabił. Okazało się, że nic nie wie-

dział o właściwościach swego oręęża. Jego broń, chociaż wyposażona w układ holograficzny, posiadała również rdzeń wykonany z najprawdziwszej stali. To on spowodował twoje obrażenia. Broń tą wojownik otrzymał od zakapturzonej postaci, która gwarantowała mu zwycięstwo nawet z tobą. Trochę zajęło, zanim znaleźliśmy odpowiednie nagranie potwierdzające jego słowa. Niemal wszystkie zostały starannie wyczyszczone. Sprawcą musiał być ktoś z wnętrza waszej organizacji zajmującej się całą atrakcją.

Zmarszczyłem brwi, nie rozumiejąc. Cała sprawa była pogmatwana i niejasna. Znowu odgadła moje myśli. Jej głos, dotąd rzeczowy, stał się aksamitnie miękki.

- Wojownik, z którym walczyłeś, był tylko narzędziem. Prawdziwy sprawca został pojmany, będziesz mógł wytoczyć mu proces.

- Ale kim był owy sprawca? Czemu nie chciała mi zwyczajnie powiedzieć? Wahala się, widziałem to doskonale. Chciałem poznać prawdę.

- Najprawdopodobniej sprawcą całej afery jest twój sługa, Jakub. Wszystkie dowody są przeciwko niemu. - Ta informacja mną wstrząsnęła. Ukochana ciągnęła dalej. - Łączy on wszystkie ogniwa. Zna się na systemie wewnętrznym, jakim się posługujecie. Podpuścił cię, byś przystąpił do walki. Podarował miecz twojemu rywalowi. W końcu to on chciał zyskać sławę, biorąc udział w turnieju jako Błędny Rycerz. Wyeliminował dwóch najpoważniejszych konkurentów, stawiając ich przeciwko sobie. Wszystko to mamy udokumentowane w kamerach bezpieczeństwa, do których nie miał dostępu. Przykro mi.

Mój świat stanął na głowie. Czyżby przyjaciel zdradził mnie dla uzyskania sławy i chwały? Próbował zabić swojego pana, by uzyskać władzę, niczym wielu innych znanych w historii przypadków samowładnych władców? To, o czym czytałem w książkach, okazało się prawdą. I chociaż mamy XXV wiek, ludzie wciąż dają się ponieść emocjom i własnym ambicjom. Spojrzałem w sufit, a pojedyncza łza oplakująca los mojego niewiernego przyjaciela przypieczętowała moje postanowienie. Za swoje czyny Jakub musi ponieść karę. Ale ja mu wybaczyłem. Jak zapewne wielu innych zdradzonych przede mną.

- Pewnie jesteś przytłoczony tyloma informacjami. Odpocznij.

Poszedłem za jej radą i pogrzeżyłem się w głębokim śnie.

Małgorzata Witka-Jeżewska

Homo viator

Otwieram oczy i rozglądam się po pokoju. Wciąż żyję. Widzę mroczne pomieszczenie, światło dostaje się tu jedynie przez wąską szparę w zabitym deskami oknie. Podnoszę się ze zniszczonego materaca, rozglądam po pokoju, który wygląda naprawdę skromnie. Dwie półki na żywność, kartony z ubraniami, mała szafka na broń, wąskie przejście do łazienki i zabarykadowane drzwi wejściowe. Napęlam miskę deszczówką, biorę łyk i obmywam twarz. Spoglądam w lustro tak brudne, że ledwo widać moje odbicie. Każdego ranka powtarzam tę czynność. Patrzę sobie prosto w oczy i mówię: „Nazywam się Adam Zakrzewski”. Na lustrze wisi zdjęcie mojego przyjaciela. Szymon Tomczyk, człowiek zbyt brawurowy na życie podczas apokalipsy... Minęły już 3 lata, od kiedy go nie ma. Odszedł... Niemal każdej nocy widzę we śnie ten moment, który go pogrzebał. Zaatakowała nas wówczas grupka truposzy, które Szymon bezproblemowo załatwił. Kiedy wyruszyliśmy po żywność Szymon przeskakiwał przez płot i się zranił. Krew zombie, ohydna ciecz, która została mu na nodze, szybko spłynęła na zadrapanie i proszę: zabiło go ogrodzenie... Był ostatnim żywym człowiekiem, którego widziałem.

Mimo przytłaczającej samotności nie traciłem nadziei. Gdzieś tam muszą żyć ludzie! Tylko to trzymało mnie przy życiu. Wydawało się niemożliwe, że ja - zwykły trzydziestolatek - jestem ostatnim człowiekiem na ziemi. Postanowiłem więc się nie mazać i wyjść w końcu ze swojego schronienia.

Miałem go dość, za dużo wspomnień, poza tym w mieście kończyły się zapasy. Trochę ciężko opuszczać Sztum, moją małą ojczyznę... Miasto nie stawiało większego oporu zombie, już po dwóch latach zostało około dziesięć osób. Teoretycznie lepiej dla mnie, zostało mi więcej jedzenia i sprawnych samochodów. Pakuję do torby ostatnie trzy puszki brzoskwiń i uzupełniam zapas w manierkach. Zakładam na plecy kołczan ze strzałami i łuk, a do pasa przymocowuję miecz. Tę broń znalazłem przeszukując garaże. Nie wiem, co bym bez niej zrobił. Naprawdę mam szczęście, że trafiłem na pasjonata średniowiecza. Odsuwam meble zasłaniające drzwi, zastanawiam się, czy to w ogóle było potrzebne. Zombie nie przeszkadzają mi już od trzy tysiące czwartego roku. One też już umierają, nie jedząc dłuższy czas dostają czegoś podobnego do trądu, przynajmniej tak mówił mi ojciec. Tata. On nauczył

mnie wszystkiego, przez pewien czas byliśmy zdani tylko na siebie, więc mieliśmy sporo czasu na opowiadanie, a mówił mi o wszystkim. Najbardziej lubiłem opowieści o normalnym świecie, tym sprzed apokalipsy, on właśnie wydawał mi się najbardziej nieznanym. Urodziłem się jakoś dwadzieścia lat po pierwszym zombie. Ojciec mówił, że to była sprawka człowieka, jak zwykle. Podobno państwa były skłócone ze sobą do takiego stopnia, że któreś użyło broni biologicznej, a ta zmutowała ludzi. W przeciągu zaledwie jednego roku te krwiożercze bestie opanowały świat. Tata opowiadał mi także o dziwnych zjawiskach, które nazywał prądem, bieżącą wodą, czy gazem. Nie rozumiałem go, bo to wszystko zniknęło, zanim ja się pojawiłem. Ojciec umarł ze starości w roku trzy tysiącnym. Mimo śmierci naturalnej także się przemienił w to plugawe stworzenie. Wielu dosięgały uboczne skutki użytej przed laty broni. Musiałem go własnoręcznie zabić. To było straszne. Nękały mnie później samobójcze myśli. I wtedy trafiłem na Szymona. Dobry chłopak, pomógł mi się otrząsnąć i żyć dalej. Szedłem główną ulicą, wyobrażałem sobie, jak to wszystko mogło kiedyś wyglądać. Jednocześnie szukałem motoru. Po drodze spotkałem zaledwie trzy albo cztery zombie. I pomyśleć, że kiedyś chodziły stadami liczącymi setki osobników. Jestem już człowiekiem o stępionej wrażliwości, zabijanie ich nie stanowi dla mnie żadnego problemu. Wcześniej u każdego mutanta widziałem twarz ojca. Panikowałem. Wiele razy o mało nie straciłem życia. Nie mogłem spać! Okropieństwo i udręka...

Ale to już minęło i bez problemu potrafię zamaszystym ruchem ręki odciąć głowę któremuś z tych skurczybyków moim ukochanym mieczem.

Jakąś godzinę zajęło mi znalezienie motocyklu i napełnienie jego baku. O, nie był to zwykły motocykl. Najpiękniejszy Harley, jakiego widziałem. Połysk jego lakieru znacząco wyróżniał się na tle wszechobecnego brudu. Problemem jedynie było to, aby wyrwać kluczyki z uścisku właściciela. albo tego, co po nim zostało. Gdy to się udało, do moich nozdrzy dotarł smród zgnilizny tak ostry, że aż łzawiły oczy. Kiedy opróżniłem z paliwa pobliskie auta, odjechałem, napawając się odgłosem silnika. Wyruszyłem na północ w kierunku Malborka. To było idealne miejsce, w którym mogli przetrwać ludzie. Droga była przerażająco cicha. Właśnie ta cisza doprowadzała mojego ojca do szaleństwa. Mówił, że przyzwyczajony jest do ludzkiego hałasu. Kolejna rzecz, której nie potrafię sobie wyobrazić. Gdy wyjeżdżałem już ze Sztumu, dostrzegłem domostwo z wielkim podjazdem, na którym stały ciężarówki. Licząc się z zagrożeniem i ufając mojemu szczęściu, zajechałem na podjazd. Zatrzymałem się i zgasiłem silnik. Cisza. Przeszukałem wszystkie kokpity i znalazłem jedynie niecałe dwie paczki papierosów i zapalniczkę. W tych

czasach nic tak nie relaksuje jak papierosy. Kiedyś był jeszcze alkohol, ale dziś zdobycie butelki najpodlejszej whisky granoczyło z cudem. Plaga zombie siała spustoszenie nie tylko fizycznie, dziesiątkując gatunek ludzki, ale i również duchowe. Ludzie nie dawali sobie rady, pili do nieprzytomności, stając się jednocześnie łatwym łupem dla potworów. Schowałem papierosy do kieszeni i sięgnąwszy po kanister, zacząłem nalewać do niego paliwa. Trzeba dmuchać na zimne i gromadzić zapasy. Przywiązałem baniak do motocykla i już miałem wyjeżdżać, gdy spostrzegłem zmierzające w moją stronę zombie. Trzy ślamazarne paskudy sunęły wolnym i chwiejnym krokiem prosto na mnie. Ściągnąłem łuk z pleców wycelowałem w najbliższego. Chłopak na oko dwadzieścia lat z czarnymi jak kruk włosami i o wzroście niewiele niższym od mojego opadł bezwładnie na ziemię ze strzałą w czoło.

„Piękne. rękodzielo.” - przemknęło mi przez głowę. Następny cel. Zgarbiona staruszka o długich, szarych włosach. Jej poszarpana miejscami skóra koloru butwiejących liści zwisała płatami, obnażając kościste wnętrza tej istoty. Miejsce prawego policzka zajęły żółte, poniszczone zęby. Nie trafiłem w mózg, strzała przeszła krtań babci na wylot. W błyskawicznym tempie wyciągnąłem kolejną strzałę i tym razem wycelowałem idealnie, wysyłając staruszkę na wędrowną po zaświatach. Ostatni zombie znajdował się niecałe pięć metrów przede mną. Odwróciłem się, odkładając jednocześnie łuk koło motoru. Uzyskawszy pewność, że w pobliżu nic innego na mnie nie czyha, wyciągnąłem miecz z pochwy. Świeżo naostrzony nie napotkał oporu na głowie grubego staruszka, poszło dziecinnie łatwo. Przetarłem ostrze o skrawek materiału i ostrożnie powyciągałem strzały z ciał ofiar. Spakowałem się i ruszyłem w dalszą drogę.

Nie zatrzymałem się po drodze i zaparkowałem motor na parkingu za McDonaldem. Normalnie byłoby to zbyt niebezpieczne, na tym obszarze mogło przebywać wiele zombie. Właśnie, normalnie. Rozglądając się po okolicy, zobaczyłem tylko kilku ożywieńców, którzy wążsali się bez celu. Momentalnie niebo przykryły brunatne chmury i wzmógł się silny wiatr. Postanowiłem nie zwlekać i zacząć szukać schronienia. Szedłem wzdłuż ulicy Kościuszki, starając się zachować wszelką ostrożność w obawie przed zombie. Bez żadnych problemów natrafiłem na sklep spożywczy. Zajrzałem przez szybę, sprawdziłem czy jest pusty, po czym wszedłem do środka. Omiotłem wzrokiem sklepowe półki w poszukiwaniu czegoś zdatnego do zjedzenia. Niestety, wszystko, co tu zostało, zdążyła pokryć pleśń. Drzwi zastawiłem lodówką na napoje i zabrałem się do wyjadania brzoskwiń z puszki, którą ze sobą wziąłem. Wciąż byłem głodny, ale dawałem radę. Ostatni syty posiłek jadłem dobre dziesięć lat temu. Wtedy jeszcze niektóre sklepy

były pełne i żyło się dość dobrze. Kiedy wyrzucałem puszkę do kosza, zaczęło lać jak z cebra. Wierzcie, nie chcielibyście się przeziębnić w tych czasach. Nie ma już żadnych leków, a zwykle przeziębienie potrafi tak bardzo osłabić, że stajemy się łatwą zdobyczą dla zombie.

Wchodzę do magazynu, aby zabezpieczyć wyjście i rozejrzeć się za potrzebnymi rzeczami.

Już w progu poczułem okropny odór. Zrobiłem kilka powolnych kroków i ominąłem stos kartonów. Spojrzałem. W rogu magazynu stał oparty o ścianę korpus ciała zombie. Były to pozostałości młodej dziewczyny, prawdopodobnie dawnej pracownicy. Zombie miał odrąbane kończyny. Leżały obok niego zanurzone w kałuży krwi. „To coś jest wciąż żywe” - pomyślałem. Makabrycznie wyglądająca głowa dziarsko kręciła się dookoła i starała się „pożreć” mnie wzrokiem. W pomieszczeniu nie było innego potwora więc byłem pewien, że tego bestialskiego czynu dokonał inny człowiek. Z nieudawanym współczuciem skróciłem jej męki, traktując mieczem oko tej istoty. Szybko wyszedłem z magazynu i zamknąłem szczelnie drzwi. Nie zamierzałem więcej tam wchodzić. Powoli się ściemniało, więc wyciągnąłem z plecaka koc, który z powodu zużycia przypominał raczej sieć rybacką. „Przy najbliższej okazji muszę wymienić moje zniszczone ubrania i nakrycie...” - postanowiłem, marząc o ciepłym, puchowym śpiworze. Zapadałem w płytki sen. Śni mi się kobieta z magazynu. Budzę się z krzykiem jeszcze przed świtem. Okropne. Wyobrażam sobie ją jako człowieka, który po pierwszej fali zombie nie ruszył się ze sklepu. Naiwna kobieta zamknęła się i starała przeżyć dzięki produktom ze sklepu. Ale coś poszło nie tak. Pewnie jakiś psychol odkrył jej kryjówkę i chciał ją okraść z jedzenia. Ale trapi mnie coś innego. Ona nie mogła się ruszać, więc nawet jako zombie nie żyłaby długo. Musiało dojść do tego stosunkowo niedawno. „Czyli jest szansa, że ktoś jeszcze żyje!” - pomyślałem. Nie byłem pewien, czy to dobra wiadomość. W końcu ów człowiek zabił ją w tak bardzo niehumaniczny sposób. Powinienem się bać, ale ciężko mi zrozumieć, co czuję. A może ten ktoś działał w grupie. Może ludzkość się odradza? Milion pytań bez odpowiedzi przemyka mi w myślach. Projektując pozytywne prognozy, otwieram przedostatnią puszkę z brzoskwiniami i przelewam syrop do butelki. Siadam na przewróconej lodówce i spożywam śniadanie. Zastanawiam się, co dalej. Trzeba odnaleźć żywność, więc zapowiadają się żmudne włamania do mieszkań, pewnie z nikłym skutkiem.

Odsunąłem lodówkę od drzwi i sprawdziłem, czy na ulicy nie kręcą się zombie. Wyszedłem i skierowałem się w prawą stronę. Czułem lekki niepokój, gdzieś w pobliżu wciąż mógł znajdować się morderca tamtej dziewczyny. Zatrzymuję się i sprawdzam, czy wszystko zabrałem. Przezorny zawsze

ubezpieczony, czyż nie? Po chwili skręcam w ulicę Warecką i zmierzam w stronę najbliższego bloku. Trafiam na zatrzaśnięte drzwi, dostrzegam rozbity szybę. Zły znak, ktoś już tu był. Ojciec nauczył mnie, aby mimo wszystko przeszukiwać takie miejsca. Dlaczego? Wielu zapomina, że są jeszcze piwnice. Szybko zwiedziłem cały blok, zbierając klucze. Większość drzwi było wyłamanych, więc miałem jeden problem z głowy. Przypominam sobie, jak wspólnie z ojcem plądrowaliśmy miasto z zasobów. Każda piwnica była nasza. Stary, dobry Sztum został doszczętnie przez nas przeszukany. Gdy o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że właśnie tamte momenty dały mi szansę na przeżycie. Ojciec uczył mnie po raz pierwszy radzić sobie z zombie. Miałem prawdopodobnie dziesięć lat. Czułem, że mojemu nauczycielowi jest ciężko, bo sądził, że zbyt wcześnie zaczynam wchodzić w prawdziwe, okrutne życie. Ale to było konieczne. Z czasem moje konto uśmierconych samodzielnie potworów wzrosło, tym samym opór w ojcu zmalał. Nie lubiłem piwnic. Ponure i osnute tajemniczo poskręcanyimi cieniami przyprawiały mnie o dreszcze. Bałem się. Cholernie się bałem. To, co działo się w mojej wyobraźni, było bardziej przerażające niż nasza „kochana” rzeczywistość. Jednak ojciec zawsze pomagał mi i z tym się uporać, bywało, że w najcięższych chwilach zwyczajnie próbował mnie rozśmieszać.

„Tak bardzo za tobą tęsknię, tato” - pomyślałem i przez chwilę zapomniałem o bożym świecie.

Sporo wysiłku kosztował mnie powrót do rzeczywistości. Trzeba było działać. Niestety, moja eskapada w poszukiwaniu żywności zakończyła się fiaskiem. Zawartość beczek i słoików większości uległa zepsuciu. Czas zrobił swoje. Musiałem szukać gdzie indziej. W tym dniu spenetrowałem jeszcze jeden blok i tam się zatrzymałem. Wszedłem do mieszkania na najwyższym piętrze. Było w nienaruszonym stanie. Domyśliłem się, że właściciele opuścili miasto już na początku apokalipsy.

Nie bawiłem się w barykadowanie wejścia, po prostu zakluczyłem drzwi i przygotowałem sobie łóżko.

Nie miałem takiej wygody od miesięcy. Przeszukałem szafy i wymieniłem sobie ubrania. Sądząc po zawartości szafy mieszkała tu matka z dorosłym już synem. Był mojej postury, więc w duchu podziękowałem mu za ubranie. Usiadłem na chwilę i odpływałem w rozmyśleniach, jednocześnie zapalając papierosa. Myślałem o mojej mamie. Było to trudne, bo ona umarła przy porodzie. Tata mi kiedyś o niej opowiadał. Wspominał jej szczupłą i niską posturę, długie, proste włosy w kolorze kasztanowym. Ojciec poznał ją jeszcze w czasach szkolnych, zapewniał mnie, że też bym się zakochał. Adorowało ją pół szkoły. Chyba dzięki rodzinnemu szczęściu mojemu ojcu udało się zdobyć jej względy. Długo czas myśla-

łem, że powinien mnie znienawidzić, w końcu odebrałem mu miłość jego życia. Dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, że kochał mnie ponad wszystko, bo tylko ja mu zostałem. Spojrzałem na stół, na którym ułożyłem dzisiejsze lupy. Kilkanaście słoików z przetworami i trochę suszonego mięsa. Dawno nie jadłem nic poza owocami z puszek, więc wcinając mięso, czułem się naprawdę szczęśliwy. Nie myślałem już o Szymonie, ani o tym mordercy. Zapadłem w sen.

Wyspałem się jak nigdy, sądząc po ułożeniu słońca, było około dwunastej. Ojciec nauczył mnie tylu wspaniałych rzeczy. Gotowanie, obserwacja słońca, czytanie gwiazd i wiele innych... Pomyślałem, że jest trochę późno, więc ubrałem się szybko i poszedłem do łazienki. Było by mi żal wody z butla, dlatego zrezygnowałem z toalety. Spojrzałem w lustro.

„Nazywam się Adam Zakrzewski” - powiedziałem z lekkim uśmiechem. Spakowałem się i wyruszyłem dalej. Troska o jedzenie minęła, pojawił się inny problem: pytanie o cel dalszej drogi. Dokąd się teraz wybiorę? Obrąłem kierunek, ruszyłem, myślałem o dalszej wędrówce. W stronę zamku, myślałem o tym, jaki obrać azymut. Nie da się żyć bez założonego celu. Gubisz się i nie pozostaje ci nic więcej jak śmierć. Ojciec na pewno by wiedział, dokąd i po co można by zmierzać. Ale go nie ma. Pustka. Podniosłem wzrok. Oto zamek. Stałem przed monumentalnym świadectwem geniuszu myśli architektonicznej. Podziwiając zamkowe mury, zapadłem w dziwny stan: błogostan. Zamyśliłem się. Zamek stoi tu już wiele setek lat, a wciąż trzyma się nieźle w porównaniu z innymi budynkami Malborka. Jaki cel ma jego istnienie? Co nadaje sens i umacnia go w sile trwania? Stoi - dumny i wielki. Potężny ze względu na wiek i miarę. Owoc pracy wielu umysłów i rąk. Może taki jest jego cel istnienia? Dawać świadectwo? Pobudzać do działania? Świadczyć, że z pozoru niemożliwe może jednak się ziszczyć? ...

Tę chwilę zadumy o mało nie przypłaciłem życiem. Nagle, mijając bramę wejściową, usłyszałem świst strzały. Ktoś do mnie strzelił! Nie sądziłem, że spotkanie z nim odbędzie się tak szybko. Zręcznie odskoczyłem za drzewo i lekko wychyliłem się w poszukiwaniu strzelca. To musiał być ten człowiek, który zabił sklepikarkę!

- Uspokój się! Nie wiedziałem, że to twój teren! Odłóż broń! - wrzeszczałem.

- Ty, mówisz? - wybełkotał, po czym zniknął.

Oparłem się o drzewo i próbowałem oswoić z zaistniałą sytuacją. To był zdecydowanie męski głos.

Nie zostałem długo w niepewności, bo właściciel w tym samym momencie wybiegł z zamku, zabijając parę zombie swoim łomem. Musiały się zbiec na moje wrzaski. Mężczyzna ruszył w moją stronę, więc wyprostowałem się,

bacznie obserwując jego ruchy. Stanął przede mną i dłuższą chwilę tylko gapił się na siebie. Był ode mnie młodszy, możliwe, że miał dwadzieścia lat. Nie kryjąc zdumienia, ów niski blondyn o szczupłej budowie ciała powiedział:

- Przepraszam cię, myślałem, że jesteś kolejnym umarlakiem. Od dawna nie widziałem żywego człowieka.

- Od dawna, czyli od kiedy zabiłeś sklepikarkę? - uciałem sucho. - Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale jeśli spróbujesz czegoś podobnego ze mną, to zginiesz jeszcze paskudniej niż ona.

- Spokojnie - nieumiejętnie próbował mnie uspokoić. - Do teraz śni mi się tamten dzień. Musiałem coś zrobić, głodowałem od kilku dni, a ona zamknęła się w sklepie i nie chciała mi pomóc. Miała sporą nadwyżkę żywności, ja próbowałem się z nią targować. Chciała mnie spławić i wtedy coś we mnie wstąpiło. Ciąłem nożem na oślep, a potem, a potem...

- Dość. Co się stało, to się nie odstanie. Ciało zniknie, ale doznania zapamiętasz. Zachowaj tę naukę na przyszłość. A teraz słuchaj.

Spojrzał na mnie badawczo.

- Stanowimy drużynę, czy ci się to podoba, czy nie. Nazywam się Adam - to mówiąc, wyciągnąłem dłoń. - Prawdę mówiąc, ogromnie się cieszę, że jeszcze ktoś żyje.

Chłopak nie odwzajemnił gestu, ale rzucił mi się na ramiona i zwyczajnie rozryczał jak dziecko. Zrobiło mi się tak dobrze na duchu, że na chwilę zapomniałem o zbliżających się plugastwach.

- Weź się w garść chłopie, czas na nas.

- Przepraszam. Nazywam się Konrad. Konrad Bernacki. Przepraszam, przepraszam - bełkotał przez łzy jakby całkiem już mu odbiło. Nie ukrywam, że trochę mnie to ruszyło. Zdrowy rozsądek wziął jednak górę. Kazałem mu poczekać i w tym czasie załatwiłem zbliżające się zombie. Współczułem chłopakowi, widać było że wiele przeszedł. Kiedy już skończyłem, Konrad zaproponował:

- Chodź, zaprowadzę cię do mojego schronienia. Już się ściemnia - ton jego głosu zdradzał opanowanie i spokój.

I tak oprowadził mnie po zamku, a później jedliśmy kolację i opowiadaliśmy swoje historie. Żył przez 19 lat w pięciosobowej grupie, coś ich jednak poróżniło i wszyscy poszli w inną stronę, zostawiając młodego Konrada na pastwę losu. Obecnie ma 21 lat i jest dziki jak szakał. Pierwszy raz od śmierci Szymona zasnąłem z uśmiechem na twarzy. Razem z Konradem znaleźliśmy wspólny język i dogadywaliśmy się znakomicie. Bywały nawet momenty, że nie myśleliśmy o zniszczonym świecie, tylko beztrudno śmialiśmy się jak

dzieci. Niestety, bywały też chwile, gdy nie odzywaliśmy się do siebie, pogrążeni w smutku. Mimo wielu przeszkód, radziliśmy sobie świetnie. We dwóch całkiem sprawnie przeszukiwaliśmy mieszkania i jedzenia mieliśmy pod dostatkiem. A w sercach wciąż tliła się nadzieja, że ludzkość przetrwała.

- Może powinniśmy wyjechać? - spytałem pewnego dnia. Konrad milczał dłużej chwilę i dumał. Wyglądał przy tym bardzo staro. W końcu podniósł głowę i spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

- Musimy? Nigdy dotąd nie opuszczałem Malborka. To moja ojczyzna, a jak wyjedziemy, to pewnie już na zawsze...

- Zostało mało domów do przeszukania, a paliwa mamy krocie. Jeśli nigdzie nie znajdziemy śladów żywych, to wrócimy tutaj - czułem, że rozpala się we mnie entuzjazm. - Obiecuję!

Ostatnie słowo odbiło się głuchym echem od murów zamkowych. Spostrzegłem, że mój kompan się waha. Jego wewnętrzny, mentalny pojedynek odbijał mu się na twarzy. Wreszcie się zgodził. Poleciłem, aby poszukał różnorakich toreb i spakował najpotrzebniejsze rzeczy, a ja w tym czasie miałem zorganizować samochód. Zabrałem ze sobą kanistry. Najlepszym rozwiązaniem byłaby jakaś furgonetka, bo pozwoli nam zabrać o wiele więcej jedzenia. Szukanie zajęło mi trochę czasu. Szybciej napełniłem kanistry niż znalazłem idealny samochód. Przy okazji trochę pomęczyłem się z umarlakami.

Potwornie zmęczony i cały we krwi w końcu trafiłem na czarnego i w pełni sprawnego jeepa. Na rezerwie wróciłem pod zamek, gdzie zastałem Konrada, który siedział oparty o mur i ścisnął swoją rękę w nadgarstku. Przez umysł przeleciało mi nagle milion wyjaśnień tej sytuacji. Został ugryziony! Z wrzaskiem pobiegłem w jego stronę. Nie było jeszcze za późno.

- Zostaw. Widocznie na mnie już czas - powiedział oschle.

Rzeczywiście zostawiłem go. Ale tylko przez chwilę. Pobiegłem po siekierę, kawałek czystej szmaty i wodę. Chyba zwariowałem.

- Nie musisz. Zostaw mnie, albo mnie zabij! - nie dawał za wygraną.

Czy on się poddał!? Jeszcze miał szanse! Byłem jak w transie, nie mogłem wydusić z siebie słowa.

Mocno zacisnąłem szmatę wokół jego ręki, tuż nad łokciem. Miał wielką i obrzydliwą ranę na nadgarstku. Kątem oka szukałem bestii, która mu to zrobiła. Plac był pusty. Nie miałem czasu na rozwiązywanie tej zagadki. Z Konrada powoli uchodziło życie. Na początku się szarpał. Chciał umrzeć. Nie wiem, czy robiłem to bardziej dla siebie, czy dla niego. Nie chciałem znów zostać sam. Wyprostowałem jego rękę. Sekunda zawahania. Ułamek sekundy. Zamach. Cięcie. Wrzask przyjaciela. Zwisający kikut. Krwotok. Za-

cząłem tamować. Kolejna rzecz, której nauczył mnie ojciec. „Dziękuję ci, tato...” - przeszło mi przez głowę. Konrad stracił przytomność. Zaniósłem go do schronu i położyłem na łóżku. Wiedziałem, że musi odpocząć. Dokładnie zabezpieczam naszą kryjówkę i wybieram się na wieżę. Zapalam papierosa. Muszę ochłonać. Siadam na parapecie. Kiedyś okno to było zabite deskami, ale jakiś czas temu rozwalilem te niczemu nie służące zabezpieczenia. Teraz okno otwierało się na przestrzeń. Nogi zwisają mi nad wielką przepaścią, która kusi. Czułem, że sytuacja mnie przerasta. Mógłbym zakończyć to wszystko w jednym momencie. Zeskoczyłbym głową w dół i nic nie poczuł. Moja czaszka byłaby strzaskana i nie zamieniłbym się w zombie. Dręczyła mnie myśl, że to ja ponoszę odpowiedzialność za wypadek Konrada. Żyło nam się za dobrze, straciliśmy czujność. Nie wierzę już w to, że ludzkość przetrwała. Wszyscy w końcu umrzemy. „Ale to nie jest powód, aby przestać walczyć. Celem istnienia nie jest dążenie do nieśmiertelności, ale trwanie i walka o ten byt, mimo że tak kruchy, a może właśnie dlatego.” Miałem wrażenie, że rozmawiam z kimś lub czymś, co jest obecne, ale niewidoczne. Zamek miał swoje tajemnice. Ponownie pomyślałem o Konradzie. Nie rozumiem, dlaczego chciał się poddać. Chciał walczyć ze mną ramię w ramię przeciwko zombie. Przetrwać. Jeśli infekcja nie rozprzestrzeniła się po jego ciele, to damy radę. Damy! Poradzi sobie chyba bez lewej ręki.. Znów wątpliwości. Chciałbym mu pomóc, ale teraz jestem bezsilny. Mogę jedynie czekać. Powoli przygniatał mnie ciężar zdarzeń i poczucie bezsilności. Ogromnie mną to wstrząsnęło. Już wiem dlaczego alkohol skończył się jako pierwszy. W sytuacjach odczuwanych jako beznadziejne, człowiek marzy o jednym: znieczulić układ nerwowy. Nic głupszego. Chwilowe trwanie w kłamstwie. Fałszowanie rzeczywistości niczemu nie służy.

Ciężko mi. Wracam na dół i siadam koło jego łóżka. Trwam w tej samej pozycji całą noc. Wpadam w trans. Nie myślę o niczym. Konrad wciąż śpi. Jego pierś cyklicznie podnosi się i opada. Byłem cholernie głodny. Robiąc sobie śniadanie, automatycznie przygotowałem coś dla niego. Ocknął się pół godziny później. Bez słowa dałem mu wodę i suszone mięso. Nie odzywaliśmy się do siebie. Patrzyłem na niego jak zahipnotyzowany. Konrad nie mógł się oswoić z tym, że nie ma ręki, ale jakoś sobie radził. Sprawdziłem jego ranę, zrobiłem opatrunek tak, jak niegdyś nauczył mnie ojciec. Chyba mi się udało. Nam. Nie zmieniliśmy planów. Wyjechaliśmy około godziny dwunastej. Wciąż nie rozmawialiśmy. Droga była pełna pustych samochodów, z trudem manewrowałem. W schowku znalazłem starą płytę Led Zeppelin. Słuchając utworu „The Rover” spojrzałem w stronę przyjaciela. Był błądy. Spał.

Nie wiedziałem, czy oddycha. Kiedy wyciągnąłem rękę w stronę jego klaki piersiowej, by sprawdzić, czy się porusza, Konrad się ocknął. Szepnął jedynie „przepraszam” i znowu odpłynął... Po przebudzeniu zaczął się szamać. W jego oczach nie było już tego pełnego życia blasku. Zmienił się. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić. Nie mieliśmy zapiętych pasów więc musiałem działać szybko. Zatrzymałem auto i wysiadłem gwałtownie. Nie miałem przy sobie niczego, czym mógłbym go zabić. Jakiś czas stałem na ulicy, zastanawiając się, co zrobić. W tym czasie Konrad zdążył już się wygramolić z samochodu i w dość szybkim tempie zmierzał w moją stronę. Kiedy był już blisko, z wielkim bólem odepchnąłem go, aż się wywrócił. Uciekłem w stronę pola. Był już wieczór, więc prawie nic nie widziałem. Szukałem jakiegoś kamienia. Czegokolwiek. Zombie już zmierzało w moją stronę. Poczekiałem na niego i znów go wywróciłem. Zyskałem trochę czasu, dzięki czemu, wróciłem pędem do samochodu, otworzyłem bagażnik i wyciągnąłem mój miecz. Spojrzałem na Konrada ostatni raz i wbiłem mu ostrze w głowę. Dźwięk pękającej czaszki przyprawił mnie o mdłości. I wtedy rozdzierający błysk okrutnej myśli poraził moje zmysły: znowu jestem sam.

Odjeżdżam jak najszybciej. Wciskam gaz do dechy i znowu nie wiem, co dalej. Długo trwało, zanim płynące z głośników słowa dotarły do moich uszu i umysłu:

*„And our time is flyin' see the candle burnin' low
Is the new world rising, from the shambles of the old?
If we could just join hands....”*

Przez całą podróż starałem się nie myśleć o Konradzie. Próbowałem skupić się na opracowaniu nowego planu. Już całkowicie straciłem wiarę w istnienie życia. Niechęć do wszystkiego, poczucie bezsensu rodziły myśli o samounicestwieniu.

Droga trwała niecałą godzinę. Po południu mijałem znaki witające mnie w Gdańsku. Nie mam pojęcia, dlaczego wybrałem właśnie Gdańsk. Może przeczucie. Naprawdę nie wiem. Wskaźnik stanu paliwa osiągnął poziom krytyczny. Nie miałem nawet ochoty szukać nowego samochodu. Spakowałem więc swój plecak i zaparkowałem wóz w widocznym miejscu. Pewnie jeszcze po niego wrócę. Zostawiłem tam resztę mojego życia. Ruszyłem przed siebie. Krążyłem bez celu aż do wieczora. Zatrzymałem się na noc w starej restauracji. Było tu całkiem przytulnie. Ściany miały kolor purpury. Wystrój nawiązywał do antyku. Ponadczasowe, nieśmiertelne, klasyczne piękno. Na atlasowych obrusach pokrywających stoliki ustawiono srebrne lichtarze. Jedyнным zniszczonym elementem był bufet, doszczętnie ograbiony z alkoholu. Tym razem pamiętałem

o zabarykadowaniu się. Nie stać mnie na więcej niedociągnięć. Wypakowałem koc z plecaka i położyłem się w narożniku na szerokiej ławie obitej skórą. Śnił mi się Konrad. Podkuiliłem nogi i zacząłem płakać. Z samotności, bezsilności i rodzącej się świadomości, że ludzkość przechodzi do historii...

Od wczesnego ranka zwiedzałem Gdańsk, sukcesywnie - kawałek po kawałku. Zatrzymywałem się w barach, czasem przy sklepowych witrynach. Nie spotkałem niczego interesującego, niebezpiecznego ani „żywego”. Całą nadzieję i chęć do życia zastąpiła mi obecnie niechęć do zombie oraz lęk przed perspektywą podzielenia ich losu. Na stoczni cicho. Na Starym Mieście cicho. Na bulwarze również jak makiem zasiał. Z większym przekonaniem zdaję sobie sprawę z tego, że nigdzie nie ma miejsca dla mnie. Już tu nie pasuję. Jestem jak błędny rycerz, uczestnik wiecznego turnieju, w którym walka toczy się o największą stawkę: poczucie sensu istnienia i samo życie.

I wtedy usłyszałem jego głos. Łagodnie przenikający martwą ciszę miasta szum wody.

Oto morze. Ono nie miało zmartwień ani lęków, ono trwało niewzruszenie tysiące lat, mając za nic dramaty ludzkiego świata. Piękne, majestatyczne, obecne. Ogarnęła mnie fala dobrze znanych myśli i wzruszeń. Oto ja - samotny wędrowiec, bogaty jedynie w doświadczenia z przeszłości, nauki ojca i podziw dla dzieł rąk ludzkich i natury, stoję przed majestatem tego, co nieśmiertelne. Jakże marna jest kondycja człowieka. Bez perspektyw, bez planów i celu czuję, że koniec jest bliski. Właśnie przegrywam odwieczną bitwę z bezlitosnym czasem. Potężny to wróg. Dosięgnie każdego. Ustalam w myślach kształt jego natury: płynna trwałość, tak go widzę. Ludzką sprawą natomiast jest kruchość bytu i ulotność chwili. Może właśnie w tym tkwi piękno, wyjątkowość jego życia?

Czas jest tempem, w którym zanika przeszłość, jej faktura, kształty, zapachy czy kolory. Ale treść, którą otula szata czasu, zostaje! Zmienia się tylko jej postać! Doświadczenia ojca staną się udziałem syna. Starszy brat, przeciera szlak dla przyjaciela. Losy różne w formie, te same w treści.

Być może wyruszam na spotkanie śmierci. Ale czyż nie taką drogą podążał mój ojciec? Nie taką kroczy każdy człowiek? Oswajam powoli tę myśl w swojej głowie. Śmierć to element ludzkiego życia. Człowiek trwając, przemija. Przez całe życie zbiera doświadczenia, wspomnienia, zachwyty. Taką drogą idą pokolenia. Niezmiennie tą samą, choć każdy na swój sposób.

Wyzbywszy się lęku, buntu i beznadziei, pogodzony z losem idę na spotkanie śmierci.

Tobiasz Popis

Nowy Początek

Nastał nowy dzień. Świat powoli budził się do życia. Słońce wznosiło się nad horyzontem, oblewając światłem każdy pagórek, dolinę. Wszystko wydawało się takie czyste i piękne, ale tylko z pozoru. Z dnia na dzień lądu ubywało. Ludzie walczyli o przetrwanie. Bitwa toczyła się o wysoką stawkę - życie.

Jednak woda nie była jedynym przeciwnikiem, wraz z nią nadeszli nowi wrogowie, o których ludzkość zapomniała wiele milionów lat temu. O gatunku, który aby przetrwać zszedł w najbardziej niebezpieczne miejsce na całej kuli ziemskiej - pod wodę, gdzie ewoluował.

To właśnie o nich ludzie rozprawiali przez ostatnie stulecia. Próbowali odkryć ich istnienie, ale nigdy nie śniło im się, że ich, prowadzone w tajemnicy przed światem, badania mogą doprowadzić do kolejnej wojny. Wojny pomiędzy dwiema inteligentnymi rasami - ludźmi i syrenami...

Jedynym miejscem wolnym od zagrożeń okazała się Polska - niewielki kraj, umiejscowiony w Europie Środkowej, nad Morzem Bałtyckim. Wrogowie nie dotarli jeszcze do tej części świata. To właśnie tutaj ludzie poczuli się najbezpieczniej i zaczęli budować niewielkie osady, gdzie mogli odpocząć od nieustannej ucieczki. Na początku, na świecie powstało kilka miliardów takich wiosek, ale teraz ich liczba zmalała do zaledwie kilku tysięcy. Większość ludzi postanowiła żyć w odosobnieniu, a to dlatego, że instynkt drapieżcy podpowiadał każdemu, by wystawić swych najbliższych w chwili zagrożenia. To dlatego pozostało tak niewiele społeczeństw, gdzie nawzajem sobie pomagano. Jedyna, najliczniejsza grupa powstała na Pomorzu. Choć mogłoby się wydawać, że to najniebezpieczniejsze miejsce na ziemi.

W roku 2015 naukowcy przewidywali zupełnie inny rozwój wydarzeń. Byli niemal pewni w stu procentach, że w najbliższych latach Pomorze zatoni. Jednak z biegiem lat półwysep Helski budował potężny mur, odgradzając Zatokę Gdańską od Morza Bałtyckiego. Wkrótce wody zaczęło ubywać i tak oto dołączył do Pomorza nowy teren, któremu nadano nazwę Przylądek Gdański. Zanim jednak ludzie mogli się na nim osiedlić musiało minąć wiele lat, więc nie zdążyli, gdyż "wybuchła" wojna.

Nim ktokolwiek zdążył się zorientować co się dzieje wszystkie lądy zaczęły rozdzielać rzeki, w taki sposób osłabiono ludzką armię. Było coraz gorzej, aż do dnia, w którym zatonięła Australia - największa z wysp, którą zalał ocean, mniejsze już dawno zniknęły pod powierzchnią wody. Tak jak kiedyś Atlantyda.

Nie wiadomo, co wydarzyło się w tamtych czasach, jednak wszyscy wiedzą, co dzieje się teraz. Może to samo przydarzyło się przodkom - to nie jest pewne. Pewne natomiast jest to, że jeśli ludzie nie zaczną dbać o wspólne dobro i walczyć o przetrwanie nie jednej, ale wszystkich jednostek to wkrótce nadejdzie koniec świata, a raczej koniec ludzkości i nie będzie już czego ratować.

Minęło już wiele lat odkąd po raz pierwszy przypuszczono atak na ludzką rasę. Nikt nigdy nie mógłby zapomnieć tego dnia. Syreny, pomimo wielu mitów, są tak naprawdę bardzo inteligentne, potrafią się ochraniać i wytwarzać broń. To właśnie dlatego, nieświadomi przewagi wroga, zlekceważyliśmy pogłoski o ewentualnym zagrożeniu. Pierwszy atak nastąpił wiosną 49-4986 roku, gdy ukraińska grupa turystyczna próbowała przedostać się przez granicę. Już wtedy zauważono nagły wzrost wody, ale nikt nie chciał się udzielać. Po prostu postanowiono zdać się na los i rozmyślać "co może przynieść przyszłość". Nikt nie przypuszczał, że ciała leżące na brzegu morza to wciąż żyjące stworzenia, dlatego, gdy kilka osób z owej grupy podeszło bliżej, by sprawdzić co się stało, dokonano pierwszego ataku.

Ręce syren mają bardzo długie palce, zrosnięte błoną. Są bardzo ostre, więc służą im również jako broń. Tak właśnie zamordowano pierwszą osobę, potem już użyto ich prymitywnej broni. Nie mieliśmy szans, bo atak przypuszczono z zaskoczenia.

Osoby, którym udało się uciec skryły się w pobliskich jaskiniach. Woda niestety prędko tam dotarła, więc aby się ratować niektórzy potrafili zepchnąć bliskie osoby prosto w szpony wroga.

Teraz już nikomu nie można było ufać...

Gdzieś nad południową częścią Pomorza wznosił się słup dymu, świadczący o ludzkiej obecności. Właśnie tam, z dala od wody ukrywała się młoda Ukrainka, Vika. Potomkini pierwszych zamordowanych ludzi. Próbowwała ogrzać zmarznięte ciało nad niewielkim płomieniem. Od wielu lat żyła samotnie, a to dlatego, że za każdym razem, gdy dołączała do jakiejś grupy ludzi, bardzo szybko ich traciła.

Wpatrywała się jak zaczarowana w płomienie tańczące tuż przed jej twarzą. Miała niewiele czasu, by rozkoszować się spokojem. Przymknęła, więc swoje powieki, wzdychając, by po chwili wstać i ruszyć przed siebie.

Dni były coraz krótsze, ponieważ zbliżała się zima. To dlatego Vika tak odważnie kroczyła po zmroku przez las. Wszystkie zwierzęta już dawno skryły się w swych norach, a te które nie zapadały w sen były obiadem dla dziewczyny. Gdyby postanowiła żyć w jednej z osad, na pewno potrafiłaby nakarmić setki ludzi do syta. Była znakomitą wojowniczką.

Gdy miała pięć lat, matka powiedziała jej, że ich przodkinie musiały należeć do Amazonek, bo zarówno Valentina jak i Vika potrafiły o siebie doskonale zadbać. Dziewczyna jeszcze nigdy nie została zaatakowana, dlatego z pewnością, godną swoich przodkiń, kroczyła przez las. W dłoni ścisła sztylet, wykonany z kości jakiegoś zwierzęcia. W porównaniu do dawnych wynalazków ludzkości, wyglądało to tak jakby musiała się cofnąć do epoki kamienia łupanego. Jednak taka broń jej wystarczała. Przecież nie należała do żadnej grupy, była sama.

"Mieszkanie" dziewczyny znajdowało się dosłownie kilka kroków od lasu. Czuła się bezpiecznie będąc blisko miejsca, w którym najłatwiej się ukryć. Poza tym kiedy czasem potrzebowała pożywienia wystarczyło podejść do najbliższego drzewa. Jednak owy krótki odcinek drogi był otwartą przestrzenią, gdzie była bezbronna.

Dotarła do skraju lasu, gdzie - dla ostrożności - rozejrzała się dookoła.

„Droga wolna” pomyślała.

Szybko przeczołgała się po ziemi, po czym wpadła do swojej groty. Wewnątrz wzięła szybkie trzy wdechy, po czym zaczęła przeciskać się głębiej, gdzie tylko ktoś jej postury mógłby się przedostać. Grota zamieniła się w niewielki tunel, gdzie trzeba było się czołgać, by przedostać się do następnej komory, w której mieszkała Vika. Wewnątrz znajdowało się posłanie, coś co miało przypominać stół i krzesło oraz kilka naczyń, wykonanych własnoręcznie z gliny i kości. Była to część sypialniano-jadalniana. Po prawej stronie natomiast znajdowało się kolejne przejście do... łazienki, gdzie były dwa zbiorniki wodne - jeden większy, a drugi mniejszy. Przypominało to wannę i toaletę, całość wyglądała niezmiernie. Zupełnie jakby ktoś przed laty specjalnie wydrążył w skale takie rzeźby.

Pomimo tego, że to jeden z najgorszych wrogów, ludzie musieli pić i jakoś utrzymać się w czystości. Dlatego właśnie znajdowano takie podziemne strumienie, by to życie choć trochę przypominało dawne.

Vika ułożyła się wygodnie na posłaniu, zmęczona po całodziennym polowaniu. Wyciągnęła niedźwiedzie futro, którym okryła swe ciało. Grota znajdowała się pod ziemią, więc było tu znacznie zimniej, bo nie docierały promienie słoneczne.

Ciche westchnienie wydobyło się z ust dziewczyny. Czasem zastanawiała się nad tym jaki jest sens w wiecznym uciekaniu, skoro kiedyś i tak umrze, jeśli nie z rąk wroga, to z przyczyn naturalnych. Poza tym, była zdania, że są ludzie, którzy mają założone rodziny i muszą o nie dbać, a Vika? Vika nie miała nikogo, była sama. Jaki więc sens w tym, aby to ona przeżyła?

Przygryzła swoją dolną wargę, próbując zrozumieć dręczące ją myśli. Po chwili pod jej powiekami zatańczyły niechciane obrazy, wywołując łzy w oczach dziewczyny. Próbowwała ze wszystkich sił wymazać je ze swojej pamięci, jednak przerażonych twarzy swoich przyjaciół, członków rodziny w chwili śmierci, nie tak łatwo się pozbyć.

Westchnęła, czując jak bardzo jest tym zmęczona. Przekręciła się na plecy i myśląc o tym, co ją czeka, zasnęła.

* * *

- Garry, połóż te beczki tutaj! - krzyknął jeden z mężczyzn, znajdujących się w namiocie.

Oczywiście nie były to namioty, które kiedyś używano na biwakach. Wyglądem bardziej przypominały te Indiańskie, które często widywano na starych filmach.

- Tu nie ma miejsca! - odpowiedział Garry.

Mężczyzna wyrzwał spod płachty, mierząc wzrokiem wszystkich, którzy nieśli beczki pełne wody. Zaklął pod nosem, po czym odwrócił się do Lidii - niskiej staruszki, która przygotowywała danie dla całej wioski.

- Lidia? - zaczął niepewnie. - Gdzie mogą je odłożyć?

Staruszka przyjrzała się zmęczonym twarzom, po czym zadecydowała jednym machnięciem drewnianej łyżki.

- Pomyślałam, że może najlepiej byłoby gdyby umieścić je gdzieś pod ziemią - oparła dłonie na biodrach, uśmiechając się szeroko. - Poszukajcie jakichś nor, powinny tu jakieś być niedaleko i... - dodała nim zdążyli się odwrócić: - Nie spóźnijcie się na obiad!

Pogroziła im drewnianą łyżką, po czym zaśmiała się, wracając do gotowania. Mężczyźni jej zawtórowali. Jedyne Garry pozostał niewzruszony. Podążał za pozostałymi o wiele wolniej niż na samym początku. Po chwili położył beczkę na ziemi, myśląc, że toczenie będzie o wiele łatwiejsze. Tak właśnie było, pomimo bólu w plecach od ciągłego schylania. Reszta mężczyzn poszła w jego ślady. W dodatku byli zdania, że w ten sposób łatwiej będzie znaleźć jakąkolwiek norę. Pozytywnie nastawieni kroczyli przed siebie, pogwizdując dawno zapomnianą melodię Bogurodzicy.

* * *

Vika należała do, niezbyt licznego, grona kobiet, które potrafią same o siebie zadbać. Dlatego właśnie sypiała czujnie, wrażliwa na każdy szmer w grocie jak i ponad nią - na ziemi. Jednak zdarzały się dni, takie jak ten, gdy dziewczyna była naprawdę zmęczona i jedynie armatni wybuch byłby w stanie ją obudzić. Nieświadomie przekręciła się z boku na bok, zacisnęła dłoń na pościeli. Z jej ust wydobył się cichy szepot:

- Nie...

Ledwie wypowiedziała te słowa, gdy jakaś kula wtoczyła się do groty. Rozległ się czyjś krzyk, następnie dziwny tupot.

- Cholera! Brandon, coś Ty narobił! - wrzeszczał jakiś mężczyzna.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi, nasłuchując.

- Jedna beczka poszła, co teraz? Lidia nas zabije... - wymamrotał inny.

- Ej, przestańcie!

Ktoś zbliżał się do niej. Wciągnęła powietrze do płuc i zamarła.

- Spójrzcie, tu jest jakieś przejście...

- Zapomnij, nie damy rady się przecisnąć!

Nie wiedziała co zrobić. Z groty prowadziło drugie wyjście, ale musiałyby zejść pod wodę, a tego nie chciała.

- Chociaż spróbujmy...

Po tych słowach rozległ się jakiś trzask, a następnie szuranie. Vika nie potrzebowała więcej, by zrozumieć, że za chwilę ktoś tu dotrze i ją odnajdzie. Postanowiła nie narażać ich na niebezpieczeństwo i powoli wycofała się do łazienki. Z przerażeniem wpatrywała się w podziemny strumień prowadzący do Morza Bałtyckiego. Przygryzła dolną wargę, wyraźnie zdenerwowana.

- Chłopaki... już... prawie... jestem - sapał jeden z mężczyzn.

Na chwilę zapadła cisza. Dziewczyna nie słyszała żadnego szurania, aż do momentu, gdy rozległ się krzyk.

- Ej! Tam ktoś jest!

Cisza. Vika zbliżyła się do zbiornika, w chwili gdy ktoś ryknął:

- Zaczekaj!

Wskoczyła do wody, wciągając mnóstwo powietrza do płuc. Zaczęła spadać na dno, dłońmi sunęła po skalnych ścianach, by wiedzieć, gdzie należy zmienić kierunek. Spadanie jednak trwało zbyt długo, a jej ubrania - dżinsy i podkoszulka - stały się zimne i ciężkie. Czuła ból w płucach. Zaczęła ją ogarniać panika. Chciała wciągnąć powietrze do płuc, ale zamiast tego dostała się do nich lodowata substancja. Vika zaczęła się szamotać i niefortunnie uderzyła głową o skałę. W następnej chwili zdołała zauważyć jak z ciemności wyłania się jakaś postać, a potem czerń zasłoniła jej widok.

„Czy ja umarłam?” - Owa myśl krążyła w umyśle Viki. – „Czy tak wygląda życie po śmierci?” Pojawiła się kolejna.

Czuła się jak kłoda dryfująca w niewiadomym kierunku po oceanie. Tyle, że ona błędziła wśród jakichś cieni. Nie wiedziała, gdzie się znajduje aż do momentu, gdy spróbowała poruszyć swoim ciałem. Okazało się to niemożliwe, więc pierwsza myśl, która pojawiła się w jej głowie to śmierć.

Ogarnęła ją panika, zupełnie jak wtedy gdy nie mogła oddychać pod wodą. Jednak tym razem było o wiele inaczej, bo nie mogła się w ogóle poruszyć. Mogła jedynie patrzeć. Przyglądała się krążącym wokół niej ceniom.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że tak naprawdę to co widzi to sen. Nagle poczuła, że leży na jakimś twardym gładzie. Chciała od razu wstać, ale niestety nie było to możliwe. Jeszcze nie teraz. Westchnęła cicho w myślach. Dokładnie w tej chwili usłyszała jakiś dziwny odgłos. Coś jakby szum wody...

Gwałtownie poderwała się do góry, siadając. Pierwszym co zrobiła był wdech połączony z cichym piskiem. Kiedy jednak do płuc wpłynęło jeszcze więcej lodowatej substancji, otworzyła oczy szeroko rozglądając się dookoła. To co ujrzała wydało jej się nieprawdopodobne. Szybko zatkała dłońmi nos i usta. Chciała spytać co się dzieje, ale nie mogła, przecież wciąż znajdowała się pod wodą.

- Hej, spokojnie - powiedział głos, jakby z oddali.

Poruszyła się niespokojnie. Jak to możliwe, że przez ten cały czas była tu, pod wodą? Spojrzała w kierunku, z którego usłyszała te słowa. Dostrzegła cień, który powoli zbliżał się ku niej. Chciała krzyknąć: *"Nie zbliżaj się!"*. Kiedy jednak odsłoniła usta i otworzyła je, gwałtownie zacisnęła wargi zdając sobie sprawę z tego, że nie może mówić, ani oddychać.

„To śmieszne... Przecież długo tak nie wytrzymam” - pomyślała.

- Mówiłem ci, abyś była spokojna. Nic ci tu nie grozi. Proszę odsłoń swoje usta - przemówił nieznajomy, stając przy łóżku (albo czymś co je przypominało), na którym siedziała.

Zmarszczyła brwi, a potem zamarła. Była tu... Wśród wrogów całej ludzkości.

- Vika, proszę, posłuchaj mnie... Ja naprawdę nie chcę ci zrobić krzywdy - wyciągnął przed siebie dłonie, próbując ją w ten sposób uspokoić.

To jednak tylko pogorszyło sprawę, przestraszona próbowała się cofnąć, przez co ześlizgnęła się z gładu, który przypominał nieco łóżko. Spadanie jednak nie było tak przerażające jak na ziemi, bo woda wszystko spowalniała. Vika nie zdążyła zareagować, gdy jego przerażające dłonie chwyciły ją i przyciągnęły do jego nagiego torsu. Dziewczyna spojrzała na niego, zupeł-

nie nie zdając sobie sprawy z tego, że zaczęła oddychać.

- Dobrze, bardzo dobrze - przemówił, nie otwierając ust.

Przerażona, zaczęła się szarpać, ale wtedy jego ręce mocniej zacisnęły się na jej ciele. Im bardziej chciała się wyrwać, tym mocniej jego palce wbijały się w jej skórę. Wytrzymał jedynie kilka sekund, bo już po chwili zaczął krzyczeć:

- Przestań się szarpać! Nie chcę ci zrobić krzywdy!

Spojrzała na jego twarz, ale dopiero teraz spostrzegła to czego jeszcze nigdy nie udało jej się zauważyć. Otóż, on wyglądał jak człowiek... Prawie... Nie posiadał na głowie włosów, ale zamiast nich miał coś w rodzaju grzebienia biegnącego przez środek głowy. Z twarzy byli identyczni jak ludzie, jedyną różnicą były ich ogromne oczy, które pozwalały im doskonale widzieć w ciemnościach.

„Co się tu dzieje? On nie chce mnie zabić?” - zastanawiała się Vika.

- Jeśli się uspokoisz, to wszystko ci wyjaśnię - powiedział. - I nie, nie chcę cię zabić - na jego wargach pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Ty rozumiesz moje myśli? - zapytała.

Dziwnie się czuła mogąc otwierać usta pod wodą i... Och! Ona oddychała!

Spojrzała w te jego ciemne oczy, uśmiechając się. On natomiast, nie wiedząc co zrobić, powoli (wręcz ostrożnie) postawił ją na ziemi. Czuła się niemal jak lalka z porcelany, z którą ludzie obchodzili się delikatnie, aby jej nie potłuc.

- Ja jestem Vika, a ty powiesz mi swoje imię? - przekręciła głowę w bok, przyglądając mu się pytająco.

Albo jej się wydawało, albo zaśmiał się, po czym udzielił jej zaskakującej odpowiedzi:

- Brovnsvith... Wiem, brzmi dziwnie, ale jeśli usłyszalabyś je w częstotliwości, którą posługują się delfiny spodobałoby ci się.

Uśmiech, który pojawił się na jego wargach wymazał wszystko, co tak bardzo przerażało ją w tym świecie. Poczowała jak na jej policzki wpływa delikatny rumieniec, którego z pewnością nie było tutaj widać. Woda zagałała kolory, które wyglądały tu zupełnie inaczej.

- Brovnsvith - powtórzyła. - Jak dla mnie, brzmi bardzo ładnie. Mogę na ciebie mówić Brov? Będzie krócej i łatwiej - kiwnęła głową.

- Dziękuję, a mi bardzo podoba się Twoje imię... - powiedział, po czym od razu odwrócił się.

Vika nie bardzo rozumiała co takiego się stało. Czyżby zrobiła coś nie tak?

- Brov?

Obrócił się, po czym chwycił jej dłoń swoimi ogromnymi łapami. Przyjrzała się błonie pomiędzy jego palcami, a ten widok, po raz pierwszy w życiu, bardzo jej się spodobał. Uśmiechnęła się do swoich myśli, po czym podążyła za Brovem. Płynął bardzo powoli, by ona mogła nadążyć. Ciężko było jej iść pod prąd, a stopy często grzęzły w mule. Jednak to było jedną z najprzyjemniejszych rzeczy, bardzo jej się spodobał piasek, który przesypywał się pomiędzy palcami.

Szli wewnątrz jakiegoś podwodnego tunelu, który piał się coraz wyżej. Ściany były zbudowane ze skały. Z początku myślała, że może to część rafy koralowej, ale materiał był zbyt gładki w dotyku.

Brov na moment odwrócił się przez ramię, by spojrzeć na nią.

- Jak sobie radzisz? - spytał, a jego głos pojawił się w jej myślach.

- Dobrze - odparła.

Nie wiedziała jak nazwać ten rodzaj komunikacji. Nie była pewna, czy jest to telepatia.

Po jakimś czasie dotarli do celu, którym okazała się ogromna sala, gdzie znajdowały się setki syren. Przerażona Vika spojrzała z nieufnością na swojego towarzysza, ale on posłał jej ten swój czarujący uśmiech. Dziewczyna uległa pod jego wpływem. Podążyła za nim na sam środek sali, która przypominała raczej stadion piłkarski sprzed lat. Rozglądała się lękliwie dookoła. Poczuła jak Brov ścisną delikatnie dłoń, aby dodać jej otuchy. Przeniosła wzrok na niego i odetchnęła z ulgą.

Po chwili dołączyła do nich jakaś kobieta-syrena. Wyglądała tak jak Brov, ale miała kobiece kształty i rysy twarzy - można by rzec, że była drobniejsza.

- Pewnie zastanawiasz się po co się tu znalazłaś? - spytała w końcu.

Vika niemrawo kiwnęła głową.

- Chodzi o tą całą wojnę, którą sobie wymyśliliście i po części o ciebie - wyjaśniła.

Brov powoli puścił jej dłoń, więc poczuła się nieswojo. Zaciśnęła dłonie w pięści, by ukryć ich drżenie. Nie chciała nikomu okazać tego jak bardzo się boi.

- Moi drodzy - zaczęła syrena. - Dziś świętujemy nasze zwycięstwo! Otóż, właśnie tego dnia zakończyła się nasza wojna z Odmieńcami! Żaden nie pozostał żywy!

Vika domyśliła się, że kobieta przemawia do zgromadzonych tutaj. Nie rozumiała jedynie tego kim byli "Odmieńcy".

- Viko - zwróciła się do niej, a dziewczyna kątem oka dostrzegła jak Brov oddala się w nieznanym jej kierunku. - Chcielibyśmy powitać cię w naszej społeczności. Nazywam się Orhisnaya i jestem tu przywódczynią - uśmiechnęła się przyjaźnie.

Dziewczyna westchnęła ledwie widocznie, gdy po chwili z tłumu wyłoniło się kilka postaci, w których rozpoznała ludzi. Wprawdzie nie знаła ich osobiście, ale poczuła się tu jak w domu. W jej umyśle pojawiła się uśmiechnięta twarz matki - zapewne byłaby z niej dumna. Jednak nie bardzo orientowała się w sytuacji.

- Przepraszam, że pytam, ale... Co się tutaj dzieje? - zabrała głos.

Orhisnaya posłała jej promienny uśmiech, ale głos zabrał mężczyzna z gatunku Viki:

- Moja droga, okazało się, że tak naprawdę nie było żadnej wojny... Wymyśliliśmy ją sobie. Tak naprawdę walka toczyła się pomiędzy syrenami a Odmieńcami.

Dziewczyna zmrużyła oczy, analizując to czego się właśnie dowiedziała.

- Syreny chciały jedynie pomóc ludziom przystosować się do życia w wodzie - wyznała jakaś kobieta.

Vika kiwnęła głową, choć nie do końca rozumiała o co w tym wszystkim chodzi. W tym momencie pojawił się Brov, który rozwiązał jej wszelkie wątpliwości, mówiąc:

- Odmieńcy żywili się ludźmi. Większość osób, z którymi żyłaś były właśnie ludożercami. To przed nimi chcieliśmy was ochronić i w tym celu ściągnęliśmy was pod wodę.

Jego zrozumiała dokładnie, wciąż jednak pozostał jeden problem - jak to możliwe, że ludzie oddychali tu pod wodą?

- O to się nie martw - zaczęła Orhisnaya. - My również byliśmy ludźmi... Kiedyś, wiele milionów lat temu i nasze ciała przystosowały się do życia pod wodą. Z wami będzie tak samo - posłała Vice zatroskany uśmiech.

Właśnie wtedy dziewczyna zrozumiała, że to jest nowa era. Nowy początek. I że trzeba zacząć żyć od nowa, z czystą kartą. Posłała Brovnsvithowi psotny uśmiech, a on jedynie podał jej dłoń, by z jego pomocą mogła nauczyć się i zobaczyć wiele nowych rzeczy.

Aleksandra Maria Ciok

Oaza

Horacy zamknął oczy. Stał na dwudziestym piętrze, zwrócony plecami do rozmówcy, a twarzą do okien, za którymi widać było kolejne wieżowce. Przed chwilą dostał awans. A po chwili usłyszał zadanie:

- Twoją początkową misją jako Pierwszego Ambasadora Wszechmiasta będzie wizyta na Pomorzu. Dzięki niej mamy nadzieję na zyskanie ich przychylności, a w rezultacie: włączenie do państwa - miasta.

- Czy muszę tam jechać? Na temat tego regionu krążą różne opowiastki.

- A od kiedy to słuchasz takich plotek?

Z pracodawcą, a zwłaszcza tak wysoko ustawioną osobistością, nie należało się kłócić.

- Dobrze, niech tak będzie. Jutro z rana ruszę na wyspę.

Wszechmiasto było jednym wielkim państwem, które swój oficjalny początek władzy nad całą Ziemią miało w czwartym tysiącleciu. Nieoficjalnie, początki istnienia państwa - miasta miały miejsce na początku XXI wieku, kiedy to ludzie coraz ciasniej zabudowywali naturalne tereny. Skutkiem tego był zanik wolnych przestrzeni w L wieku. Obie Ameryki, Afryka, Australia, Azja i Europa stworzyły jedno wielkie miasto - państwo, z jednym, uniwersalnym językiem, bez władzy. System wprowadzony w 3097 roku spowodował, że sprawy toczyły się jednym, niezmiennym torem. Nikt nie musiał władać. Nikt nie musiał walczyć o władzę. Nie było wojen, wrogości, napadów. Ziemia została zajęta przez budynki. Nawet w najbardziej nie dostępnych miejscach globu powstały budynki. Aby utrzymać Wszechmiasto, każdy zdrowy człowiek pracował. Kobiety w lepszych zakładach, mężczyźni w fabrykach. Monotonnie utrzymywali produkcję jedzenia, energii i innych, potrzebnych do życia składników. Niosło to też ze sobą negatywne cechy. Długość wieku wśród Ziemian spadła do 50 lat. Każdy musiał się dobrze ubierać, pięknie wyglądać. Zapanował jeden wzór, według którego każdy miał żyć. Ci, co sobie z tym nie radzili, przegrywali. Jednak nie było problemów. Prawie. Jedynym przekleństwem, a może błogosławieństwem było zatarcie we wspomnieniach tego co dawniej było. Tak. Nikt już nie pamiętał co to pierwsza, druga wojna światowa. Według nowej teorii, ludzie powstałi od tak sobie. Wszelkie zabytki usunięto, bo „zajmowały miejsce potrzebne dla

budowy nowych mieszkań. Pozostał tylko jeden skrawek zieleni, wolności, na którym ocalała pełnia natury. Pomorze. Mieszkańcy Wszechmiasta nigdy się tam nie zapuszczali, ponieważ ustawione życie nie uwzględniało wizyty w tej części Ziemi. Większość nie czuła potrzeby, by jechać w tamte regiony. Ci, którzy tam byli, wracali z dziwnymi opowieściami, które z czasem przybrały miano mitów. I dlatego Horacy tak bardzo nie chciał tam lecieć. Pomorze miało różne synonimy: Niebo, Piekło, Raj, Hades. Dla mieszkańców Wszechmiasta pomorzanie byli wyrzutkami. Cały świat czekał na to, by ta mała wysepka, która odłączyła się od lądu w 3012 roku w wyniku trzęsienia ziemi, również podjęła się procesu zabudowania terenu. Jednak Pomorze sądziło inaczej. Te poglądy Horacy miał poznać. Nie pozwalając myślom wędrować dalej, ubrał marynarkę i zjechał do Wielkiego Halu. Stało tam pełno wolnolotnych statków-taksówek. Horacy wszedł do środka maszyny i wbił dane jego mieszkania: region, kod, poziom, sektor, numer. Statek uniósł się i włączył do ruchu. Po dziesięciu minutach Horacy był już w wieżowcu, który uchodził za jego mieszkanie. Jechał na trzy dni. W razie czego wziął ubrań tyle, co w normalnym świecie starczyłoby mu na sześć dni. Ponadto kilka urządzeń rejestrujących, małą broń i parę innych rzeczy. Był ubezpieczony na prawie każdą możliwość. Wyszedł i tym razem wziął odrzutowiec Ambasador, który był pojazdem uprzywilejowanym i szybkołotnym. Wstukał szyfr: xOx, oznaczający Pomorze, wygodnie usiadł i zapadł w drzemkę.

Obudził go cichy, długi, przeciągły dźwięk. Albo jest na miejscu, albo właśnie przekroczył granicę Pomorza. Spojrzał na zegarek, maszyna stanęła, otworzyły się drzwi. Wszystko jasne. Niepewnie postawił nogę na asfalcie, materiale, który od dawna już nie był używany. Stał pośrodku długiego pasa z asfaltu. Z lewej strony leciały.. nie, jechały jakieś maszyny. Spojrzał na tabliczkę obok niego. „Autostrada A1”. Ktoś zatrąbił, a Horacy odruchowo sięgnął po plecak z bronią. Jednak maszyny przejeżdżały dalej nieznacznie zwalniając przy Ambasadorku. „Widocznie silnik Ultra-C się zatarł. Będę skazany na pomoc tubylca.” Horacy wyciągnął odznakę swojego statutu i już chciał wejść na asfaltowy pasek, gdy usłyszał:

- To nic nie da - rzekł stojący opodal mężczyzna.
- Co? - zapytał Horacy.
- Nie bez przypadku twój pojazd się zniszczył - wyjaśnił tubylec.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Mów - zażądał wysłannik.
- Pole elektryczne udaremnia swobodne wlatywanie waszych, jak to mówicie „statków” do naszego regionu. Panują tu określone warunki. Nie można latać takimi maszynami. Helikopterem i samolotem owszem, ale nie tym.
- Co? O czym ty bredzisz?

Mężczyzna westchnął. Wiedział, że tak będzie.

- Zabierz swoje rzeczy i chodź. Droga to nie za dobre miejsce do rozmowy, a po twojej postawie wnioskuję, że trochę potrwa nasz dialog.

Horacy niechętnie posłuchał obcokrajowca i wszedł za nim do „samochodu”, jak go nazywał. Po chwili silniki się włączyły, a pojazd ruszył w głąb Pomorza.

- Mój drogi ambasadorze, zacznijmy od tego, co cię tu sprowadza?

- Bez wazelinarstwa proszę. Jestem tu z wizytą dotyczącą włączenia Pomorza do Wszechmiasta.

Tubylec wybuchł szczerym śmiechem. Nie mógł wytrzymać już po pierwszym zdaniu.

- Przepraszam, ale widocznie ci ze szczytu władz dali strasznego żółto-dzioba.

- O kim ty mówisz, bo chyba nie o mnie - oburzył się Horacy.

- Spokojnie. Wszystko wytłumaczę jak dojedziemy do mojego domu.

- Wy...

- Później. Teraz oglądaj.

Samochód wjechał na wielki most nad jakąś rzeką. Ambasador Wszechmiasta niechętnie wyjrzał przez okno i aż się zachłysnął powietrzem. W dole widać było grubą wstążkę rzeki. Po obu jej stronach rosły pola trawy. „Mam go” - pomyślał kierowca. „Teraz pójdzie jeszcze łatwiej. Gdyby tylko wszyscy chcieli to zobaczyć.” Na horyzoncie pojawił się wielki las mieszany. Między drzewami widać było nawet rudą kitę lisa i małą wiewiórkę. Mieszkaniec Wszechmiasta, co chwilę wygłaszał jakieś komentarze typu:

- Zobacz! Jakie to piękne! Czy możemy podjechać bliżej.

A gdy kierowca pozwolił ambasadorowi wejść na górę, której czubek był w lesie albo zbliżyć się na dwa metry do lisa, ten był wniebowzięty. Później zobaczyli jedno z najpiękniejszych jezior, aż wreszcie dojechali do granicy Pomorza. Horacy nawet nie wiedział, że tak szybko mu zleciał czas. Stali na plaży maszerując przez sypki i jeszcze gorący piasek. Fale szumiały, mewy latały w pobliżu kutrów rybackich, a niektórzy z turystów wracali do swoich chat. Ambasador przemówił w momencie, gdy zawiązała lekka bryza.

- Niesamowite. - Po chwili kontynuował. - Tego się nie da opisać słowami.

- Wiem. Dlatego chciałem ci to pokazać. To zaledwie mała część pięknego Pomorza. Moglibyśmy jeździć przez całą noc, a i tak byśmy nie zobaczyli wszystkiego. Jednak musimy wracać do miasta. W Wejherowie mam swój domek. I to tam rozpoczęła się konwersacja między Zapomnianym a Prawdziwym.

- Czy chciałbyś, żeby zamiast plaży był położony chodnik? - zaczął Pomorzanin.

- Nie - westchnął Horacy.
- Czy chcesz, żeby wycięto lasy i zabito zwierzęta po to, by zbudować kilka wieżowców?

Tym razem mieszkaniiec Wszechmiasta zastanowił się dłużej. Po części wróciła do niego ta „miastowa” świadomość.

- Nie, chyba nie.
- Czy chcesz, by zrównano te okolice i zamieniono je w betonowe lasy?
- Nie - rzekł tym razem stanowczo.
- Mieliśmy szczęście, że Pomorze uniezależniło się z początku od Polski, a potem od reszty świata. Dynastia Dranbehilt objęła rządy w 2039 roku i od tego czasu świat zapomniał o człowieku i przyrodzie. Był tylko zysk i rozwój. Zysk i technologia. Zysk i praca. Zapomnieliście o czymś takim jak życie, człowiek, rodzina, uczucia, środowisko. Postępujecie według schematów. Nie można być oryginalnym. Trzeba pracować, zarabiać, stworzyć rodzinę. Dzieci muszą dorosnąć, pracować, zarabiać, stworzyć rodzinę. I tak w kółko. Zapomnieliście o najważniejszych wartościach naszego życia. O wolności, o naturze, która jest naszym młodszym bratem, o którego trzeba dbać. My staramy się te zasady kultywować i szanować. Nie jesteśmy zacofani technologicznie. Nie, wręcz przeciwnie, doszliśmy do momentu, w którym moglibyśmy zacząć kolonizację kosmosu, ale w tym odkrywczym szale ucierpiałoby to co dla nas najważniejsze. Przyroda jest piękna, sam człowiek jest cudem. Nie możemy zatracić się w budowlach i ciągłym rozwoju, Pomorze nigdy nie przyłączy się do Wszechmiasta, bo to Cmentarz Miłości i Piękna. Tam umarła swoboda, a ludzie stali się bezuczuciowymi robotami, którzy ciągle wykonują tę samą pracę, która im się nie podoba. Doszliśmy do takiego momentu w dziejach ludzkości, że Pomorze jest Rajem, o którym wiedzą tylko mieszkańcy tego świata. Tu ludzie też pracują, jednak tego chcą, mają osoby, do których chcą wracać, wypoczywają i żyją w pełni tego słowa znaczeniu. Stworzyliśmy nowy kontynent, z dawnymi zasadami, które podobają się ludziom. Dlatego ich nie zmieniamy. Bo tak jest nam dobrze. Kochamy te okolice, szanujemy i podziwiamy je.

A Pomorze odwzajemnia się wieloma, wspaniałymi darami.

Mieszkaniiec Wejherowo zrobił dłuższą przerwę. W umyśle Horacego wciąż było ziarno niepewności, że to wszystko jest kłamstwem.

- Możesz mieć wątpliwości, co do moich słów - rzekł Pomorzanin jakby czytając gościowi w myślach. - Dlatego radzę ci, przejdź się po Wejherowie, a zobaczysz szczęście w drugim człowieku.

Ambasador czując się niemal jak robot, wstał, wziął przewodnik po miejscowości i wyszedł na dwór, nie wiedząc, gdzie go skieruje elektroniczny

głos. Wyszedł z domku i wszedł na ruchliwy chodnik. Na drodze jeździły auta i autobusy z zielonymi paskami. Był na dworcu, z którego odjeżdżały tak zwane PKS-y i pociągi. Ludzie biegali w jedną i drugą stronę, jednak tak, jak powiedział jego gospodarz, byli szczęśliwi, różnili się od swoich braci z Wszechmiasta. Zafascynowany ruszył dalej. Dotarł do „deptaku”. Po lewej i prawej stronie stały sklepy, w których, jak podawał przewodnik, żyli sami specjaliści. Dotarł do centralnego punktu. Ratusz z siedzibą Dynastii Dranbehilt i flagą powiewającą na czubku budynku oraz pomnikiem Jakuba Wejhera, założyciela miasta. Całe miejsce tętniło życiem. Z jednej strony dobiegały różne melodie, z drugiej wystraszone przez małe dzieci gołębie robiły przełot nad kamieniczkami, na ławkach ludzie rozmawiali ze sobą i w spokoju jedli zamówione wcześniej dania. Horacy kręcił się i kręcił nie mogąc uwierzyć temu, co widzi. Gdyby tak wyglądał świat, rzeczywiście, ludzie byłiby szczęśliwi. Ruszył dalej, dostrzegł wielki budynek oznaczony na mapie nazwą „Klasztor”, z którego dochodził dźwięk dzwonów, które właśnie wybijały 18. godzinę. „Wystarczy” - postanowił Horacy. „Muszę coś zrobić”.

Po powrocie do domu znajomego Pomorzanina, ambasador stwierdził cicho:

- Wiele zrozumiałem, ale przede mną jeszcze batalia z Wszechświatem...

Okres od piątego do szóstego tysiąclecia został nazwany „cofnięciem technologicznym”. Po Wielkiej Mowie, wygłoszonej przez ambasadora Horacego von Haach i pokazaniu filmu o przeszłości oraz o Pomorzanach, w mieszkańców Wszechmiasta wstąpiła nadzieja. Ludzie chcieli powrotu do pięknych czasów, które minęły. Ówczesny ambasador Horacy von Haach obwołał się Pierwszym Odnowicielem i rozpoczął długą i mozolną pracę wyburzania budynków, przywracania glebie dobrej jakości i wskazywania ludziom jak nawiązać przyjaźń z naturą. Pomorze otworzyło swoje granice dla innych ludzi, dzięki czemu architekci wiedzieli co i jak zmienić. Ludzie na powrót stali się szczęśliwi. Mieszkańcy wyseпки, od której wszystko się zaczęło, spisali Kodeks Złotych Praw. W nagrodę za „przywrócenie rozumu”, jak to ujął w swojej mowie Horacy, Pomorze zostało nagrodzone nazwą Wielkiej Metropolii, a miastu Wejherowo przyznano nadzwyczajne prawa i nową nazwę, Archimetropolia Wejherowo. Mimo wszystko to Pomorzanie wciąż byli najszczęśliwszymi, najzdrowszymi i najdłużej żyjącymi mieszkańcami świata.

Szymon Rudzko

W trzydziestym wieku

Jak woda w rzece,
jak krew w krwiobiegu,
tak zawsze w tą samą stronę czas płynie.

Jak gwiazdy gasną,
jak lód topnieje,
tak życie ludzkie przemienie.

Zostaną drzewa,
co w trzydziestym wieku
w konarach swych i liściach
trzymać będą wspomnienie
o człowieku.

Zostanie słońce,
które niegdyś jasno
na nieba firmamencie
na przemian dniem i nocą
świeciło i gasło.

Zostanie morze,
które w swej otchłani
niejedną więzi duszę,
porwaną zdradliwymi
swoimi falami.

Zostaną łąki,
na których już lata
bocian żaby nie szukał,
ni koń trawę zajadał,
ni krowa łaciata.

Zostaną plaże
i piaski złotawe,
które będą pamiętać
wakacyjne miłości
i letnią zabawę.

Jak woda w rzece,
jak krew w krwiobiegu,
tak zawsze w tą samą stronę czas płynął.

Jak gwiazdy zgasły
i jak lód stopniał,
tak człowiek także przeminął.

Aleksandra Taciak

Świat z betonu

Piszę do Ciebie siedząc na betonowej ławce -
psy z betonu szczekają, dzieci puszczają betonowe latawce.
Zapytasz: jak latają skoro są z betonu?

Powiem Ci (tylko nie mów nikomu).

Miały być z papieru, ale coś poszło nie tak -
serca ludzkie skamieniały, skamieniał cały świat.

Kiedyś okna były szklane, a piłki gumowe,
ludzie mieli dusze, teraz wszystko betonowe.

A żeby ten beton, o! latał na przykład
steruje nim cienka, niebieska żyłka,
co jak pod skórą, jest pod betonem,
więc latawiec lata, pies merda ogonem.

Myślę, że chyba można przywyknąć.

Lecz ja pragnę palcem pstryknąć
i być u Ciebie.

Tam, na Pomorzu, przy wzgórzach i morzu,
tam, gdzie serca ludzi nie stwardniały,
gdzie słońce jest żółte, a śnieg jest biały.

(Nie tak jak tutaj, gdzie wszystko jest szare.)

Gdzie mucha jest muchą, a komar komarem,
gdzie czas nie skrzywdził ziemskiej ludności,
gdzie człowiek wciąż jeszcze jest pełen miłości.

Tam, gdzie błękitna jest woda w jeziorze,
zabierz mnie, błagam! na Twe Pomorze.

Zabierz mnie proszę do swojej krainy
i ocal duszę ostatniej dziewczyny,
która gdy przyszła ciemność, nie żyła
- dlatego w beton się nie zmieniła.

Aleksandra Taciak

Anioły ludzkości

Za tysiąc lat nas nie będzie,
w niebie z aniołami pić będziemy herbatę,
będziemy duszami.
Pewnego dnia z ciekawości
na ziemię zejdziemy zobaczyć jak się miewa
i wtem zapłaczymy.
Usłyszymy śpiew słowika,
szum wiatru, plusk wody i krzyk mewy nad morzem.
Ujrzymy ogrody.
W nich tulipany i bratki -
piękne, kolorowe, stokrotki i piwonie,
drzewa owocowe.
Zachłyśniemy się powietrzem,
poczujemy fale, stopą dotkniemy wody
nie mocząc się wcale,
bo przecież nie mamy ciała.
wtedy przyjdzie moment, gdy przypomnimy sobie
miejsce zwane domem.
I tęsknota nas ogarnie
za byciem człowiekiem, zakazaną miłością,
za młodzieńczym wiekiem.
Za tysiąc lat więc wspomnimy
jak tutaj na Ziemi wspaniałe życie było,
wśród morskiej zieleni.
Za tysiąc lat ze spokojem
my - cienie ludzkości - spojrzymy co zostało
z kaszubskiej piękności.

Aleksandra Taciak

Co po nas zostanie?

Wyblakłe uśmiechy trupich pocztówek

W babcinym albumie:

Pozdrawiam znad morza.

Garść żółtych (w zeszłym stuleciu) jaskrów,

Patrzących z wyrzutem przez starczą ramę

Fotosu pradziadka.

Rzeczy na emeryturze bez prawa do zasiłku.

Zabawny szkielet kostiumu,

Zetlały od moli,

Który wyszedł z mody,

Żeby nigdy nie wrócić.

Kapsle -

ten wykwintny gatunek muszelek à la post-moderne.

Butelka z plastiku,

Której nikt nie podniesie.

Joanna Kowalska

Haiku Morskie I

Morze - za sto lat
Samotni w tłumie
Ziaren piasku.

* * *

Posmakuję słonych fal
Kocham morze
Ostatni raz.

* * *

I tylko wiatr
Wolny od wyrzeczeń
Buduje swoje zamki z piasku.

Joanna Kowalska

Haiku Morskie II

Wilgotny od gwiazd
Werniks pomarańczy:
Światło morza - latarnia.

* * *

Śmiech mewy
Drwina
Patrzącego z góry na świat.

* * *

Turysta
W majestacie parawanu
Kroczy z powagą letniej mrówki na piasku.

Joanna Kowalska

Bezkarność

W cykaniu świerszczy się zatraciłam.
Nie, nie żałuję...
Chwil parę przez to utraciłam,
Zmarszczek narobiłam,
Uśmiechów porozdawałam,
Wiary sprzedałam,
Uczuć stłamsiłam...
Teraz patrzysz na mnie ze zdziwieniem.
Nie, nie mam wytłumaczenia...
Czasami jeszcze się miotam,
Nie znajduję prostych rozwiązań,
Nie głoszę haseł wygodnych,
Nie widzę łatwiejszej drogi...
Potem zapomnisz o wszystkim.
Nie, nie będziesz już pytał...
Ja przywyknę do szarości,
Przestanę nęcić rozkoszą,
Przycichnie serce powoli,
Będziemy czekać...
Przyjdzie ona - królowa przyszłości.
I owieje nas obawa,
Czy tam będzie lepiej?
Wtedy chwycisz mnie za dłoń,
Jak zawsze z czułością...
I nim wypali się nasza promienista ścieżka,
W twych oczach zatracę się bezkarnie.
Zanim odejdziemy na zawsze...

Lilii Wilczyńska

Brzeg

Krzykiem namalowałam pejzaż wspomnień
Ty wiesz ile w nich było radości
Łagodna wizja poranka i nagość ciał
Nie biegłam przez wąskie torowiska
Nie brudziłam rąk w betonowym gąszczu rozbitych światełek
Światełek miejskiej płataniny...
Ta błogość ust nieskażonych
I dotyk rąk jedwabnych
...W oczach Cię zamknęłam
Wtedy nad brzegiem morza cichego
Tej łuny rozproszonej w sercu garść wyrwałam
I stopami szlak rozkoszy wyryłam...
Teraz się w niej kąpie zniewolona
Na moment umykam czarnej wizji świata
W przeszłość wędruje bezkarnie
Z nadzieją że pozostanę na tym brzegu szczęśliwa
Szczęśliwa....

Lilii Wilczyńska

Zwyczajna

Moja wrażliwość jest obłożona mchem zwyczajności,
Nie snuje bajek o wielkiej słabości,
Nie wydzieram szczęścia innym...
Innym - bardziej nowoczesnym.

Ja - wciąż ocieram rany wyobraźni,
Biegam hacząc stopy o poranny mech,
Muskam drzewa niedbale,
Płoszę sarny świadomie,
Kąpie ciało w strumyku,
Zrywam kwiaty przebudzone,
Rzucam kamienie w otchłań,
Zbieram koszyk doświadczeń....

Później wybiorę te gorsze,
Wyrzucę w niepamięć!
Ciebie nakarmię resztkami,
Tymi co szczęściem smakują.

Wieczorem utulę obłędem,
Do ucha szepnę słów kilka...
Kilka banalnie zwyczajnych
...o miłości.

Jej nie zmieni nawet pazur codzienności.

Lilii Wilczyńska

smuga cienia

zanieście mnie skrzydła moje
nad rwący szum wodospadu
dajcie odpocząć
myślom

widok ukwieconych łąk
niech będzie rajem dla oczu
ptaki w locie
obejmujące błękit
niech rozpierzchną smugę cienia
zatrzymaj mnie chwilo
w kropli opadającego potoku

Teresa Mielewczyk

dotyk

mam tylko jedno życie
jedno każdego dnia

wyciągam się na trawie
czuję chłodny dotyk ziemi
wiruje świeży błękit
a na nim tęcza
paleta światła i barw

w moim oddechu pulsuje krew
chwila za chwilą
a żadna z nich
nie omija mnie
czuję że żyję

Teresa Mielewczyk

fragment

można żałować
że coś uleciało w niepamięć
bo nikt nie zauważył
a tam zadrżał liśćmi wiatr
na czyichś ustach pojawił się grymas i zniknął
rejs dookoła świata zakończył się fiaskiem
przybyła kolejna rysa na ścianie
rozległ się grzmot
po drugiej stronie ulicy
zapaliło się zielone światło
przeleciał pies

można
wciąż na nowo
odkrywać prawdy znane
wstawać w cichości
jak poranek w świeżości mgieł
co odsłania tylko fragment
tego co będzie
tu i teraz
ale nie na zawsze

Teresa Mielewczyk

Pokonamy zło

Przeszłość i teraźniejszość
Łączy tylko jedno
Nikt z nas nie pamięta
Jak to było kiedyś
Tyle krwi wchłonęła ziemia
Smak miecza
Smak zwycięstwa
Lecz to porażkę najbardziej
Zapisał czas na kamieniach
Widzimy zło krew, pot i łzy
Nie widzimy postępu
Jaki przeszliśmy ze średniowiecza we współczesność
Odbijemy się wysoko ponad niebo
Odbierzemy ziemię germana
Wyrównamy szale gdy
Za tysiąc lat będziemy mocarstwem
Ludzie będą żyli w zgodzie
A nie jak Hitler z Żydami w pogardzie
Wszyscy będą stali za sobą murem
I nie wyginiemy jak
Pradziadowie pod Grunwaldem
Czas szybko nas zmienia
Coś jest a potem tego nie ma
Przeminie z wiatrem
Będziemy na szczycie
Panować nad światem

Paulina Ostrowska

Jedność

Ląd woda
Dwa żywioły
Jedna całość
Para która przetrwa wieczność
Gniew i walka
Rozdziela ich przez kilka wieków
Ta klątwa przez tysiąc lat
Trwać jeszcze będzie
Woda zmyje z globu
To co lucyfer
Zasiał w sercach pradziadów
Brak walki
Ciemności ze światłem
Spójna jedność już na zawsze
Pozostaną po nas wspomnienia
I historia wyryta na pergaminie
Który po kilku latach zaginie
Gdańsk przez Bałtyk wchłonięty
Będzie krypta kryjąca przeszłość
Tajemnica
Początkiem więzi której
Bóg nie rozdzieli
Z kart historii wymazani
Grunwald, Pomorze, nawet zamek
Budowla której nikt nie zdobył
Przez fale zalana
W sekundę zniknie
przestanie istnieć

Paulina Ostrowska

Wieczne państwo

Woda granicą nam będzie
Z każdej strony świata
Nowe państwo
Lepsza władza
Nie będziemy
Z rak do rak przechodzić
Jak przez cały czas istnienia
Jest poparcie nie ma kata
Państwa w państwie
Też nie będzie
Fala dla pomorzan murem będzie
Własne godło Własna flaga
Gdańsk kaszubski hymn nam zagra
Malbork stolica wieczna
Nogat nam za Wisłę służy.
Czas wyleczy rany po zaborcach.
Władze uzyskamy poprzez pokój.
Nikt nam nie podbije ziemi
Będziemy wielcy i wieczni
Na wieki wieków amen.

Paulina Ostrowska

III nagroda w kategorii młodzieży

* * *

Choć,
Zatańczmy ten ostatni walczyk,
Na ziemi opuszczonej,
Zniszczonej,
Przez ludzkie absurdy,
O biedne Pomorze,
Coś ludzi owocami morza obdarowywało,
Coś resztę Europy pięknymi krajobrazami zaskakiwałaś,
Szans dostaliśmy od Ciebie wiele,
Lecz nic nam to nie dało,
Dalej brnęliśmy naturę wyniszczając,
I co nam po tym wszystkim,
Po nowej technologii,
Gdy naturalny pozostał tylko,
Zachód słońca nad morzem boski,
O biedne pomorze,
Co nam to wszystko dało?
Tlenu brak już w płucach mych,
Oczy przemakają,
To już koniec,
Dobranoc .

Kamil Kuliński

* * *

Czymże jest czas,
Spoglądając na to, ile się zmieniło w nas,
Nasze życie spokojne,
Bez wojen,
Bezpieczne,
Już nie tęsknimy za poległymi dostojnie,
Możemy żyć w pokoju,
Dostojnie,
Człowiek jednak uczy się na błędach,
Lecz czy aż tyle musieliśmy płakać,
Wzdychać?
By nasze piękne Pomorze odzyskać,
Odbudować i unowocześnić,
Jak godnie żyć? Wyperswadować ludziom prostym,
Udogodnień godnym,
Potyczek ... już nie ma,
Pokój ogarnął świat,
Lecz czy musieliśmy na to czekać,
Setki - tysiące lat ?

* * *

A co gdyby tak,
Tajemniczości zedrzeć płaszcz?
Pokazać wszystkim jak piękne morze i krajobrazy posiadamy,
Nie tylko innowacyjne technologie wciskamy .
Setki minęły lat,
Spokojny nastał czas,
Rozbudowaliśmy się wspaniale,
Lecz nie zapomnijmy o tym wcale,
Jak pięknie zachodzi słońce,
Nad bałtyckim, świetlistym kojcem.
Lecz tak już się utworzył świat,
Zaczął wypychać to, co powstało setki temu lat,
Lecz my nigdy nie wymażemy,
Z pamięci się nie wyzbędziemy,
Pól, łąk, lasów;
Tych pomorskich rarytasów!

Kamil Kuliński

DWA SŁOWA

w imieniu jurorów VIII edycji Konkursu Literackiego „Powiew Weny”

O tematyce

Hasło przewodnie tegorocznego „Powiewy Weny” w równym stopniu stanowiło atrakcję, co wyzwanie. Atrakcję – gdyż fantastyka wszelkiej maści od paru dobrych dekad stanowi jeden z najpopularniejszych wątków w rozrywkowych sztukach narracyjnych. Wyzwanie – gdyż wizja naszego ukochanego Pomorza „za setki i tysiące lat” sprawiać mogła nie lada trudność, przywołując skojarzenia z rozmachem wizji zawartych w klasycznych „Pierwszych i ostatnich ludziach” czy spopularyzowanym ostatnio „Atlasie chmur”. Tym większe brawa dla prawie trzydziestki Odważnych, którzy nadesłali swoje propozycje!

Wiemy też, jak często rozmaite futurologiczno-fantastyczne wizje rozmiągają się z późniejszą rzeczywistością. W drugiej połowie XIX wieku jakiś francuski uczoney obawiał się, że jeśli transport w Paryżu będzie nadal rozwijał się równie intensywnie – to w już w roku 1960 zabraknie owsa dla koni. Herbert George Wells – skupiwszy się nie na wynalazku jako takim, lecz na wywołanych przezeń reperkusjach psychologicznych i społecznych – okazał się, zupełnie niezamierzenie, także dalej idącym futurologiem (laser, gazy bojowe, wojna totalna) od ostrożniejszego Julesa Verne’a (który techniczne pomysły swego wyspiarskiego kontynuatora i rywala uważał za całkowicie bajkowe). Nawet nasz genialny Stanisław Lem samoograniczał swą nieokiełznaną fantazję w utworach nie będących groteskami czy przypowiastkami: przykładem może być czarno-biała taśma filmowa stanowiąca wyposażenie statku międzygwiazdowego w powieści „Eden”. Wielu fantastów i futurologów powtarza wszak od dawna, iż przyszłość kształtować będą te elementy, których dziś jeszcze nie znamy; któż przecież (i to jeszcze stosunkowo nie tak dawno!) przewidzieć mógł rewolucję technologiczną i obyczajową związaną z komputerami, internetem, telefonami komórkowymi...

Ale przecież dobra fantastyka tak naprawdę zawsze opowiadała o człowieku; o człowieku postawionym przed nowymi, szczególnie trudnymi wyzwaniami lub przyglądała się kondycji ludzkiej w jakiejś spreparowanej mo-

delowo rzeczywistości. O tym mówiły „Wehikuł czasu” i „Wojna światów” wspomnianego Wellsa, psychologiczne eksperymenty europejsko-amerykańskiej Nowej Fali z lat 60., filozoficzne rozważania naszego Lema, zamulowane w konwencji political fiction opozycyjne powieści i nowele Janusza A. Zajdla, o tym wszystkim mówi również fantastyka współczesna, także ta rodzima – często już o lata świetlne odległa od technologicznej scenografii.

O utworach

Nie będzie konwencjonalną grzecznością stwierdzenie, iż prawie wszystkie teksty nadesłane na tegoroczną edycję konkursu literackiego zasługiwały na docenienie – więc wybór laureatów naprawdę nie był łatwy. W dziedzinie prozy zadanie było prostsze (co nie znaczy, że łatwiejsze!), gdyż skupić się można było na fabule. Poezja, z natury rzeczy, jest bardziej subiektywna i ulotna, więc regulaminowy wątek pomorsko-futurologiczny można było potraktować bardziej swobodnie. Ponieważ literatura, także fantastyczna, jest sztuką – nie bez znaczenia były też takie elementy jak styl, język, wartości czysto artystyczne.

Poezja – Kategoria „A”

Ever zaprezentowała utwory („Pokonajmy zło”, „Jedność”, „Wieczne państwo”) w dość jednolitej stylistyce, stanowiące nieomal swoisty tryptyk – mocno osadzony w bolesnej przeszłości Pomorza, z przyszłością obecną jako perspektywa zadośćuczynienia. Kula z kolei (w trzech wierszach bez tytułu) nawiązał wyraźnie do pomorskiej przyrody, przyszłość taktując również na zasadzie potencjalnych perspektyw.

Poezja – Kategoria „B”

Mimo oczywistej poetyckiej subiektywności – w wierszach nadesłanych przez JT („W trzydziestym wieku”, „Świat z betonu”, „Anioły ludzkości”) znakomicie spełnione zostały wszystkie wymogi regulaminu: nie tylko mają one klimat i są dobrze napisane, ale jest też wyraźnie mowa o Pomorzu i o przyszłości. Z kolei autorka dwóch haiku („Haiku Morskie I” i „Haiku Morskie II”) oraz białego wiersza („Co po nas zostanie?”) – podpisująca się graficznym logo (nazwaliśmy je „autostradą”) – także spełniła wymogi konkursowe, jednocześnie zaprezentowawszy utwory ładnie napisane i skłaniające do refleksji. Bardzo liryczne – aczkolwiek ze znacznie mniejszą dawką morza i futurologii – okazały się wiersze Kasjopei („Bezkarność”, „Brzeg”, „Zwyczajna”).

Wyróżnienie przypadło Elianie – za integralny cykl pięciu wierszy (jako że autorka nie zdecydowała się na wybranie trzech z nich).

Proza – Kategoria „A”

Akcja utworu nadesłanego przez Pensjonarkę („Przeszłość w przyszłości...”) teoretycznie mogłaby dzieć się wszędzie – ale fabuła była jednocześnie bardzo młodzieżowa (bohaterowie, gra), zaś całość została naprawdę dobrze napisana. Roland („Homo viator”) nawiązał do szczególnie modnego ostatnio motywu zombie; niewątpliwym atutem jego prozy jest sprawny warsztat pisarski (narracja, język). Wizję nieco podobną w klimacie nadesłała AMC95 („Nowy początek”). Do klasycznych antyutopii urbanistycznych nawiązał z kolei Sprinter („Oaza”) – zamieszczając przy okazji sympatyczne i wyraźne akcenty wejherowskie.

Proza – Kategoria „B”

W opowiadaniu Xinperora (** - autorka zdecydowała się na podanie tytułu po konkursie) bardzo spodobały się nam: mocno przyszłościowa wizja świata, dwa plany czasowe, wyraźne elementy pomorskie, konsekwentne dążenie do pointy oraz dojrzała, dopracowana, adekwatna stylistycznie narracja. Antyutopijna nowela Siermiężnego Kłosa („Jabłonka”) urzekła nas prostotą i ograniczeniem do minimum technologicznego tła oraz humanistycznym przesłaniem i wymowną symboliką. W utworze Wira („Chronos”) uderzała jednolitość fantasmagorycznej wizji i stylistyki – jest to konsekwentne, dobrze napisane i ma klimat; dodatkowym smaczkiem są akcenty wejherowskie.

Opowiadanko Latimerii („Podwodny cmentarz statków”) wyróżniało się optymizmem wśród wizji w większości pesymistycznych; do tego historyczna zagadka i dużo starego Wejherowa. Jedyne słuchowisko – nadesłane przez Ad Absurdum („Narada”) – rozbawiło wszystkich szczerze oraz nawiązywało wyjątkowo bezpośrednio do naszego konkursu. Do klasycznej fantastyki naukowej zbliżył się Imants („Najdłuższa podróż”) – przy czym jego utwór ma klimat i jest dobrze napisany (także zawiera akcenty wejherowskie – co, by było jasne, traktowaliśmy jako swoisty „bonus”, ale absolutnie nie warunek si nequa non!).

Tyle o Nagrodzonych i Wyróżnionych. Brak tu miejsca, by napisać o Wszystkich – i by wszystkie prace nadesłane na VIII „Powiew Weny” wydrukować w corocznej pokonkursowej publikacji. Powtórzę więc raz jeszcze, bez żadnej „poprawności politycznej”: wielu utworom nienagrodzonym zabrakło do podium zaledwie paru punktów – sporo było bowiem i dobrze napisanych wierszy, i interesujących wizji fantastycznonaukowych, i nawią-

zań do kaszubskiej kultury; ale musieliśmy dokonać wyboru – takie są
wszak prawa każdej punktowanej rywalizacji. Szkoda, iż część uczestników
dość niefrasobliwie potraktowała ramy regulaminu, gdyż niektóre prace
straciły część punktów z powodów czysto formalnych.

Notabene czasami niżej podpisanemu nasuwały się subiektywne skoja-
rzenia z różną klasyką fantastyki (np. „Nowy wsłaniały świat” Huxleya
i „Limes inferior” Zajdla, „Non stop” Aldissa, horrory Lovecrafta, filmowy
„Świat Dzikiego Zachodu”) – co nie jest żadnym zarzutem (nasi Autorzy mo-
gą nawet nie znać tych tytułów), raczej stanowi refleksję nad dziedzictwem
futurolologicznej fantastyki. Fantastyki, do której dorobku właśnie dołączyli-
ście swoje talenty i dzieła. Dziękujemy Wam Wszystkim!

w imieniu Jury w VIII edycji „Powiewu Weny”

- Jan Plata-Przechlewski

(Wejherowo, 5.XII.2013 r.)

SPIS TREŚCI

<i>Bogdan Tokłowicz – Drodzy Czytelnicy</i>	3-5
WYNIKI KONKURSU	6
<i>Lidia Zdzitowiecka – Za tysiące północy</i>	7-18
<i>Dariusz Burzyński – Jabłonka</i>	19-24
<i>Grzegorz Dzięgielewski – Chronos</i>	25-30
<i>Magdalena Topp – Podwodny cmentarz statków</i>	31-40
<i>Krzysztof Szkułatowski – Najdłuższa podróż</i>	41-48
<i>Bogusława Zubrzycka – Narada</i>	49-51
<i>Małgorzata Witka-Jeżewska – Podróż do przeszłości</i>	52-60
<i>Tobiasz Popis – Homo viator</i>	61–71
<i>Aleksandra Maria Ciok – Nowy początek</i>	72-80
<i>Szymon Rudźko - Oaza</i>	81-85
<i>Aleksandra Taciak – W trzydziestym wieku, Świat</i>	86-88
<i>Joanna Kowalska – Co po nas zostanie?, Haiku Morskie I i II</i>	89-90
<i>Lilii Wilczyńska – Bezradność, Brzeg, Zwyczajna</i>	91-93
<i>Teresa Mielewczyk – Smuga cienia, Dotyk. Fragment</i>	94-95
<i>Paulina Ostrowska – Pokonamy zło, Jedność, Wieczne państwo</i>	96-98
<i>Kamil Kuliński – ***, ***, ***</i>	99-100
<i>Jan Plata-Przechlewski – Dwa słowa w imieniu jury...</i>	101-104
SPIS TREŚCI	105
Do uczestników konkursu	106

**W VIII edycji
Wejherowskiego Konkursu Literackiego
“Powiew Weny 2013”**

wzięli udział także:

- Tadeusz Buraczewski (Reda)
- Lucyna Kurpiewska (Wejherowo)
- Mateusz Tytus Meyer (Lewinko)
- Patrycja Pionke (Wejherowo)
 - Paulina Richert (Luzino)
 - Andrzej Sitek (Gdynia)
 - Zyta Szweda (Wejherowo)
- Magdalena Wołosia (Wejherowo)
 - Ewa Wójcik (Choczewo)
 - Edyta Wysocka (Miastko).

Wszystkim autorom z całego serca dziękuję
za nadesłanie swoich prac na nasz konkurs i życzę
powodzenia w następnych edycjach “Powiewu Weny”
oraz innych konkursach literackich.

**Zastępca Prezydenta Miasta Wejherowa
Bogdan Tokłowicz**



MIEJSKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W WEJHEROWIE
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

ISBN: 978-83-928233-3-9